Opłata pocztowa uiszczona gotówką.

ŁOWIEC POLSKI



Żórawie. Z serji, nagrodzonej I nagrodą i złotym żetonem P. Z. Ł. na konkursie fotograficznym „Łowca Polskiego". Fot. W. Puchalski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 34 (872) 1 GRUDNIA 1937 R.



Fragment polskiej hali na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Berlinie. Fot. J. Tuchołka.

ZWYCIĘSTWO Ś-GO HUBERTA

Kończąca się obecnie międzynarodowa wystawa łowiecka w Berlinie nie jest tylko zwykłem mniej lub więcej udanem przedsięwzięciem tego rodzaju. To pierwsze po wojnie wspólne wystąpienie łowiectwa wszystkich krajów, mające wskazać całemu światu znaczenie łowiectwa w kulturalnem i gospodarczem życiu narodów, jego postulaty i hasła.

Trzeba przyznać, że impreza ta udała się ponad wszelkie oczekiwania. Zobaczyliśmy rzecz, która sama przez się jest wydarzeniem niezwykłem, epokowem, odbiegającem daleko ponad to, co moglibyśmy nazwać choćby najwspanialej udaną wystawą.

Łowiectwo całego świata wystąpiło wspólnie z podniesioną przyłbicą, aby pokazać czem jest i czego żąda. Wystąpienie to było wspaniałe, druzgocące. Pomniejszyciele znaczenia łowiectwa w życiu narodów lekceważący je lub usiłujący rzucić jego losy na pastwę demagogicznych haseł, ci wszyscy, którzy w łowiectwie widzą tylko zbytek i zabawkę możnych, ponieśli decydującą klęskę, po której niełatwo będzie im podnieść głowy. A że w większości krajów w łowiectwie wiele jeszcze jest do zrobienia, klęska ta przypadła jak najbardziej na czasie.

Zasługa w tem przypada bezspornie gospodarzom. Z takim rozmachem, z takim nakładem pracy i środków, z takiem wyczerpaniem zagadnienia przystąpić mógł do dzieła tylko naród, w którym ukochanie łowiectwa i zrozumienie jego potrzeb zarówno przez władze jak i społeczeństwo jest tak zupełne, jak to nie od dzisiaj widzimy w narodzie niemieckim. Poza cudami, które dane nam było ujrzeć na wystawie — imponujące i niemniej silne wrażenie wywierały na obcych udział i zainteresowanie się wystawą władz niemieckich z Wielkim Łowczym Rzeszy, Premjerem Göringiem na czele, a także całego społeczeństwa niemieckiego — widok tych tłumów, tej masy ubranych w łowieckie stroje myśliwych, którzy z dumą, głębokiem zainteresowaniem i znawstwem zwiedzali wystawę. Czegoś podobnego nigdzie indziej poza Berlinem nie można byłoby zobaczyć.

W dziedzinie zamiłowania i należytego ustosunkowania się do łowiectwa naród niemiecki złożył dowody, że dzierży bezspornie Puhar Narodów i nieprędko go odda w inne ręce.

Pawilony niemieckie godnie stwierdzają to ustosunkowanie się do łowiectwa narodu niemieckiego.

Wszystko, co tylko dotyczy łowiectwa, traktowane jest w nich z całkowitem znawstwem i wyczerpaniem przedmiotu. Widzimy więc wspaniały dział historyczny, zawierający mnóstwo bezcennych pamiątek, osobny pawilon poświęcony trofeum Wielkiego Łowczego Rzeszy, Premjera Göringa, stoiska wszystkich bardziej znanych łowisk niemieckich, jak Rominten, Schorfheide i innych, a także poszczególnych okręgów (Gau) łowieckich, na które podzielona jest Rzesza, stoiska poświęcone poszczególnym ważniejszym

gatunkom zwierząt łownych, jak łosie, jelenie, daniele, rogacze, kozice itp., stoiska poświęcone ochronie przyrody, prasie i literaturze łowieckiej, broni i amunicji, optyce łowieckiej, przechowaniu i przyrządzaniu zwierzyny, psom myśliwskim, urządzeniom domków łowieckich i t. p. O niczem nie zapomniano i wszystko przedstawiono w sposób dostępny, interesujący i pouczający. Pod olbrzymią halą przedstawiona jest niemiecka zwierzyna w niemieckim lesie.



P. Jan Koźmian przy łosiu, ubitym podczas tegorocznej rui na terenie Poleskiego Tow. Myśliwskiego.

Z narodów, które brały udział w wystawie, naczelne miejsce przypadło Polsce. Choć zgóry można było przewidywać, że w niektórych działach, jak np. rysi i wilków, konkurencja z nami będzie trudną, to jednak zwycięstwo, które odnieśliśmy, było niewątpliwie niespodzianką dla nas samych i wogóle dla wszystkich. Osiągnęliśmy je dzięki jakości i liczbie nadesłanych pierwszorzędnych trofeów, niektórych nadesłanych w ostatniej chwili, wprost z kniei.

Nie można powiedzieć, aby pawilon nasz wyróżniał się przed innemi pięknem zgrupowaniem i ułożeniem trofeów. Pod tym względem biją nas Niemcy, Rumunja, Czechosłowacja, Francja, a przedewszystkiem Austrja i Węgry.

Okazało się, że uzyskaliśmy zamało miejsca, że nam samym trudno było zorjentować się co przyślemy i że gdy przyszło rozmieścić nadesłane trofea, organizatorzy stanęli przed zadaniem niemożliwem do pożądanego rozwiązania. Można nawet powiedzieć, że w tych warunkach, w jakich się znaleźli, wywiązali się naogół z zadania znakomicie. Nie mogli jednak uniknąć natłoczenia trofeów, tego że skóry wilcze i rysie a także wieńce jelenie, łopaty łosi, zamiast wisieć po ścianach, leżą jedne na drugich, bez troski o należyte pokazanie trofeum. Na wszystko jedna odpowiedź i wytłomaczenie—brak miejsca. Z tem wszystkiem nie uniknęliśmy niektórych błędów, których mogłoby nie być. Zamiast fotografji, skądinąd bardzo ładnej, wolałbym widzieć portret Pana Prezydenta pendzla Norblina, który się znalazł w dziale malarstwa łowieckiego. Piękne rosochy łosie i inne wykopaliska wolałbym widzieć rozmieszczone nad wejściem, a nie rzucone na ziemię, gdzie w sposób niewytłomaczony mieszają się z trofeami współczesnemi i t. p. Pozatem wolałbym widzieć kolekcje, jak np. M. hr. Potockiego głowy wilcze, lub p. Skrzypka bataljony, stanowiące z natury rzeczy organiczną całość, nie podzielone i nie rozmieszczone pomiędzy innemi trofeami lub rozstawione tak (bataljony p. Skrzypka), iż nikomu do głowy nie przyjdzie, że to jest jedna kolekcja. Ale i tu występuje to samo tłomaczenie — brak miejsca niepozwalający na wyzyskanie wielu, bo pierwszorzędnych efektów.

Uwagami temi nie chcę pomniejszyć zasług wszystkich tych, którzy pracowali nad urządzeniem wystawy, w szczególności p. Knothego, gdyż wszyscy widzieliśmy, jaką moc pracy na urządzenie wystawy poświęcił, a na pokazach urządzanych przez niego w Warszawie złożył dowody, że i pod względem estetycznym umie z zagadnieniem tem znakomicie dawać sobie radę.

Chcę tylko podkreślić niekorzystne warunki, w jakich pawilon nasz pod względem wystawienia trofeów znalazł się w porównaniu z pawilonami innych narodów, które bądź miały więcej miejsca, bądź mniej trofeów do okazania.

Z tem wszystkiem pawilon nasz pod jednym względem wyróżniał się przed innemi. Imponował ilością i jakością trofeów, podanych w ten sposób, jakby polska knieja, zaskoczona żądaniem, wysypała odrazu wszystkie swoje bogactwa, nie troszcząc się w jaki sposób będą okazane. Ta ilość i siła robiły imponujące wrażenie. Łącznie z wynikami pomiarów zapewniły nam pierwsze miejsce.

Zasługa tego zwycięstwa przypada niewątpliwie Polskiemu Związkowi Łowieckiemu, który od pierwszych dni niepodległości cierpliwie i bez rozgłosu pracował nad dźwignięciem łowiectwa polskiego, zjednoczył koło siebie myśliwych polskich, zdobył ich zaufanie, mógł dzięki temu zebrać tyle pięknych trofeów i stworzył w ten sposób warunki naszego zwycięstwa. Sukces ten niewątpliwie będzie zachętą do dalszej pracy i walki o lepszą przyszłość łowiectwa polskiego.



Ambasador Lipski na stanowisku na polowaniu w Baszkowie.

Bardzo pięknie i okazale przedstawia się pawilon rumuński. Wspaniałe są kolekcje skór niedźwiedzich, wieńców jeleni i parostków sarnich, wszystko ułożone tak, że można wyczuć typ trofeów rumuńskich w każdym dziale. Rumunja niewątpliwie należy do grona narodów środkowo-europejskich, które o rozwój łowiectwa umieją się troszczyć.

(Dok. nast.).

WALENTY GARCZYŃSKI



Fragment polskiej hali na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Berlinie.

PO SUKCESIE MIĘDZYNARODOWYM NA TEMAT TURYSTYKI ŁOWIECKIEJ

Przed paru dniami zamknięta Międzynarodowa Wystawa Łowiecka w Berlinie rzuciła na polskie łowiectwo wielki blask chwały, w którym nie bez słuszności kąpać się może nasza duma narodowa. Nie było dotąd dziedziny — gospodarczej czy też sportowej — w którejby kraj nasz, postawiony wobec konkurencji wielu państw świata, odniósł tak sumaryczne i bezapelacyjne zwycięstwo.

Zwycięstwo to jest tem okazalsze i tem chlubniejsze, że przyniosła je nietylko wartość naturalnych bogactw, zawartych w naszych puszczach i kniejach, rozsianych po całem Państwie, lecz że zdobyła ją nasza własna praca i własna umiejętność zachowania i podniesienia nawet najbardziej zagrożonych i wyniszczonych rodzajów zwierzyny wskutek panujących na ziemiach polskich przez szereg lat wojny światowej i powojennych — warunków dewastacyjnych.

Zwycięstwo to zatem odniosła przedewszystkiem polska myśl łowiecka, wielkie zamiłowanie i poświęcenie dla umiłowanej sprawy, tkwiące głęboko w sercach i w mózgach świadomej swych celów elity polskich myśliwych.

Na wystawie tej, obok wspaniałych eksponatów, zdobywanych na naszych ziemiach trofeów myśliwskich, dostępnych oczom wszystkich zwiedzających, rozdawano poważniejszym tuzom z pośród przedstawicieli zagranicznych myśliwych, z inicjatywy Wydziału Turystyki Ministerstwa Komunikacji, bardzo ładnie wydaną broszurę propagandową w języku niemieckim, p. t. „Polska jako tereny łowieckie"*), niedwuznacznie zachęcającą do odwiedzenia Polski w celach turystyczno-łowieckich. Prócz tego, przygotowane zostały w znacznej ilości nakładu tłomaczenia tejże broszury na języki francuski i angielski, które, jak się dowiadujemy, przeznaczone są do rozesłania w najbliższym czasie w różne strony świata zrzeszeniom łowieckim i poszczególnym myśliwym.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że amatorzy turystyki łowieckiej zainteresują się teraz właśnie Polską pod tym względem z wyraźnie rosnącem natężeniem co do ilości i jakości zgłoszeń. Nie możemy im obecnie wręcz odmówić, tłomacząc się nieprzygotowaniem, lub niepewnością wyników co do spotkania ze zwierzyną.

Ten ostatni argument, używany z naszej strony dotychczas najczęściej przy sporadycznych zgłoszeniach zagranicznych myśliwych o uczestniczenie w polowaniach np. na niedźwiedzie, wilki, rysie, dziki itd., ponieważ nie decydowaliśmy się na ryzyko zepsucia dobrego mniemania o naszem łowiectwie przez nieprzygotowanie do takich celów naszych łowisk i naszych warunków turystyczno-technicznych — został nam wytrącony za jednym zamachem przez wielki sukces berliński.

Pozostało... nieprzygotowanie. Ale tem tłomaczyć

*) O broszurze tej zamieszczoną została osobna wzmianka w Nr. 33 „Łowca Polskiego" (Przyp. red.).

się trudno, skoro zwłaszcza wydaje się broszury propagandowe, pobudzające do przyjazdu do Polski narówni z naocznie oglądanemi trofeami polskiej zwierzyny.

Dlaczego mówię: pozostało nieprzygotowanie? Wszakże skoro nasza Liga Popierania Turystyki broszurę taką wydała (i to daleko okazalej, niż uczyniły to inne państwa, reklamujące swe łowiska), skoro omówiła w niej wszystkie tematy, związane z koniecznemi informacjami, potrzebnemi dla wybierającego się do Polski turysty-myśliwego, skoro uczyniła to, działając w porozumieniu z Wydziałem Turystyki Ministerstwa Komunikacji, również w tem samem porozumieniu powołując do życia przed pół rokiem specjalnie do rozwiązania tego zagadnienia przeznaczony „referat łowiecki", to — zdawałoby się — nie może być mowy o nieprzygotowaniu.

Już pisałem o tem parokrotnie i nie będę szerzej rozwijał znaczenia tego wyrazu. Chodzi bowiem o nieprzygotowanie łowisk i całego aparatu, z którego ma korzystać turysta: od uregulowania postępowania czysto formalnych, urzędowych przepisów, do urządzenia siedzib, pomieszczeń, środków komunikacji — do odpowiednio wyszkolonego personelu itd.

Hoteli, a tem więcej autostrad, nie pobuduje się w przeciągu pół roku, ale to nie może nas przerażać, gdyż turysta, pochodzący nawet z najbardziej cywilizowanego kraju, pod wpływem działania swej rzetelnej pasji myśliwskiej, zniesie z uśmiechem niejeden trud, brak i niejedną niewygodę. Zresztą myśliwemu w niektórych wypadkach nie może nic innego służyć za schron, za miejsce pożądanego wypoczynku, jak kureń, budan czy ognisko leśne, a w najlepszym razie pobliska gajówka.

To też na pierwszem miejscu stawiam fachowe, techniczne urządzenie samego łowiska, przygotowanie wszelkich środków i pomocy myśliwskich, siedziby wypadowej. I w tym kierunku powinniśmy usilnie i śpiesznie pracować.

Jedną z pierwszych prac referatu łowieckiego przy Lidze Popierania Turystyki było zapoczątkowanie ewidencji tych łowisk, których właściciele pragnęliby urządzać płatne zbiorowe polowania, lub spieniężać odstrzały pojedyńczych sztuk zwierzyny. Rozesłano Łowczym Powiatowym P. Z. Ł. odpowiednie okólniki i szematy do wypełniania zgłoszeń, na łamach „Łowca Polskiego" wydrukowano odpowiednią odezwę Ligi, która w tym kierunku korzysta z całkowitego poparcia Związku i jego organu prasowego — a efekt po paru miesiącach jest dosyć nikły, gdyż zgłoszenia napływają bardzo powoli.

Sprawa rozbudowania turystyki łowieckiej w Polsce posuwa się nadto żółwim krokiem, podczas gdy wszystko złożyło się na to i za tem przemawia, że musimy tę sprawę bardzo mocno posuwać naprzód, nabrać rozmachu i — spożywać zasłużone owoce.

Pragnąłbym niezmiernie, żeby niniejsze słowa, kierowane w pierwszej linji do właścicieli poważniejszych łowisk, zdołały przekonać i ożywić ich chęci oraz nastawić w kierunku wykorzystania już sprecyzowanych zamiarów, zarówno oficjalnych, jak fachowych czynników w tej dziedzinie.

Nie potrzeba natomiast nikogo przekonywać, że podany we wspomnianej wyżej broszurze „cennik orjentacyjny" za odstrzał poszczególnych rodzajów zwierzyny jest punktem wyjścia do realnej kalkulacji dla tych, którzy mają lub mogliby mieć odstrzał na zbyciu. Ale przytoczmy te cyfry: łoś — od 1.750 do 2.500 zł., jeleń — od 300 — 800, karpacki jeleń — od 750 — 1.500, daniel — od 150 — 450, rogacz — od 50 — 120, dzik — od 25 — 120 (wg. wagi), zając — od 2 — 5 bielak od 3 — 5, niedźwiedź — od 1.750 — 2.500, wilk — od 100 — 150, ryś — od 300 — 500, lis — od 20 — 50, głuszec — od 50 — 150, cietrzew — od 5 — 15, jarząbek — od 3 — 5, pardwa — 5, bażant — od 4 — 6. (Nawiasem mówiąc, ceny za odstrzał takich gatunków specjalnych, jak pardwa, a nawet bielak, są kalkulowane — dla zagranicy — stanowczo za nisko. Wydaje się również, że i cena za wilka znajduje się w nieodpowiednim stosunku np. do ceny głuszca).

Cyfry te zaczerpnięte są przez Ligę Popierania Turystyki z oficjalnego cennika Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych. Wiadomo, że dotychczas głównym oferentem odstrzału zwierzyny dla interesujących się polowaniami w Polsce zagranicznych myśliwych były poszczególne Dyrekcje l. p., jednakże dotąd wykorzystywany był głównie jeleń, następnie głuszec, częściowo dzik — rzadko jakiś inny gatunek poważniejszej zwierzyny. Pochodziło to nie z braku zapotrzebowania, lecz raczej z nieprzygotowania się należytego do możności oferowania odstrzału i innej zwierzyny, a zwłaszcza naszych drapieżników.

Dziś w orbitę zainteresowania nietylko krajowych myśliwych (którzy mieli możność dotąd, prócz wymienionych trzech rodzajów, zdobywania w lasach państwowych odstrzału także rogaczy), lecz zwłaszcza zagranicznych, z małemi wyjątkami (zające, kuropatwy, bażanty) wejdą z całą pewnością niemal wszystkie pozostałe rodzaje polskiej zwierzyny, a z tego wynika, że nadeszła właśnie odpowiednia chwila do jak najdalej idącego wykorzystania przez naszych właścicieli łowisk i zwierzostanów tego zainteresowania.

Obok odpowiedniego przygotowania do tego prywatnych łowisk, dla stworzenia znaczniejszej ilości źródeł ofertowych, Naczelna Dyrekcja Lasów Państwowych powinna rozwinąć jak najprędzej swój plan gospodarczy w łowiskach niewydzierżawionych i stworzyć z nich — obok terenów reprezentacyjnych — pełnowartościowe tereny odstrzałowe dla zagranicznych myśliwych, ze wszystkiemi rodzajami zwierzyny. Plan taki był w swoim czasie opracowany i był szeroko dyskutowany, obecnie jest najwyższy czas, żeby go wprowadzić w życie.

Poza sumą bezsprzecznych korzyści, jakie z tej akcji i wypełnienia tego programu czerpać będzie Państwo, a dla których „gra warta jest świecy", powstał jeszcze ostatnio — po Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej — obowiązek niezmarnowania wysokiego prestiżu, jaki łowiectwo polskie osiągnęło, obowiązek nietrwonienia słów i czynów na darmo, niedziałania jedną ręką, gdy inna zostanie wciśnięta do kieszeni bezczynnie.

Dziś zapotrzebowanie zagranicznych turystów-myśliwych, pragnących do Polski przyjechać, trzeba usiłować stuprocentowo pokryć. Gdy się powiedziało „a" — trzeba skończyć z chwałą i honorem cały alfabet.

Ten obowiązek leży na polskiem łowiectwie, leży w szczególności na administrowanych przez Państwo samo terenach, a refleksem pada na wszystkich dostatecznie uświadomionych i zorganizowanych myśliwych.

Dobrze zaprojektowanemu programowi działalności referatu łowieckiego Ligi Popierania Turystyki musi towarzyszyć oddźwięk całego społeczeństwa łowieckiego, inaczej akcja tej instytucji będzie musiała zaledwie wegetować, a obcy wyciągną niekorzystny wniosek o lekceważeniu przez nas realnych wartości, o braku zmysłu organizacyjnego i lenistwie, jako wadzie narodowej, o nieprzygotowaniu głębszem do jakiejkolwiek planowej, celowej pracy na dłuższy dystans.

Niechże łowiectwo polskie potrafi utrzymać i w tym kierunku swój prestiż wobec innych narodów, jaki zasłużenie zdobyło na wystawie w Berlinie.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO

W POGONI ZA KOZICAMI

Przed dwoma mniej więcej laty, oczarowany emocjami polowania na kozice na tle wspaniałej panoramy Alp, podzieliłem się wrażeniami z czytelnikami „Łowca Polskiego". Było to polowanie letnie w palących promieniach sierpniowego słońca, wśród pachnącej zieleni świerków, modrzewi i buków. I zdawało mi się wtedy, że nic piękniejszego i bardziej emocjonującego wspaniałe Alpy z okazji polowania pokazać już nie mogą.

Tak myślałem, dopóki szczęśliwy los nie pozwolił mi w parę miesięcy potem znaleźć się na zimowem polowaniu, w krańcowo odmiennych warunkach, kiedy i góry i kozice przybrały zimowe szaty, kiedy burze śnieżne, na zmianę z lodowatemi wiatrami, lub piekącem słońcem, pokazały mi w całej rozciągłości piękno i grozę, ciężki trud i radosne emocje polowania na kozice na szczytach alpejskich zimową porą.

W rok potem, a zatem ostatniej zimy 1936/7 r., znów znalazłem się w tem samem miejscu, znów zlany potem piąłem się wzdłuż pionowych ścian Hochsteinalpe, na jej szczyt. I te same granitowe zwały, również przybrane w zimową szatę, wydały mi się jednak jakieś inne, mało znane, zaledwie nieco podobne do tych, które w pamięci zachowałem z ubiegłego roku. Wichry i słońce rozplanowały inaczej olbrzymie plamy śnieżne, inne nadały im formy, inaczej inkrustowały niemi potężne granity. Wspaniałe słońce w kryształowo czystem powietrzu, cudownie wprost przystroiło białe góry w przewspaniałe barwne szaty wszelkich kolorów tęczy, inne o zachodzie słońca, inne znów o wschodzie.

Już w roku ubiegłym przekonany byłem, że zimowe polowanie jest znacznie piękniejsze i bardziej emocjonujące i dlatego też może za drugim razem potężne góry oszczędziły mi ciężkich chwil zmagania się z naturą, zachowując nieprzerwanie w ciągu dwudniowego pobytu swe najpiękniejsze, czarujące oblicze.

A może dlatego były one takie miłe, że tym razem byłem w towarzystwie znakomitego myśliwego polskiego, wielbiącego ponad wszystko błota i knieję poleską, lasy karpackie, bukiety ogonów bażancich i inne czary naszego polowania, natomiast Alpy i na ich tle kozice były mu jeszcze nieznane.

Może powiedziały sobie Alpy: lepiej mu się nie narażać i uśmiechały się doń bez przerwy, jak mogły najpiękniej.

* * *

W końcu listopada, korzystając z zaproszenia moich przyjaciół austrjackich, znalazłem się w Bruck a. d. Muhr, skąd samochód uprzejmych gospodarzy prowadzony z imponującą brawurą, wywindował mnie w ciągu godziny górską i krętą drogą na doliny Buchbergu, leżącej ok. 700 m. n. p. m.

W domu starego strzelca Gassnera szybko przebrałem się, najniezbędniejsze rzeczy zapakowałem w plecak i po skromnej przekąsce, z Mannlicherem na ramieniu, ruszyłem w towarzystwie Gassnera w góry.

Dla mnie przydzielony został rewir Hochstein-Alpe. Jest godzina 1½ pp. Stary Gassner, doskonały myśliwy, od czterdziestu z górą lat strzelec ks. Parmy, po drodze wykłada mi swój plan:

— Mamy doliną ze 2 kilometry drogi do podnóża góry Hochstein-Alpe. Stamtąd zaczniemy się już powoli wspinać wzdłuż ściany, a potem przez to siodło na lewo, ponad lasem wydostaniemy się nad krawędź ściany i dojdziemy do koliby 1657 mtr. n. p. m. Tam zanocujemy. Po drodze będziemy próbować, może się nam poszczęści i złapiemy jakiego kozła. Powinny tam być pod szczytem ściany, tembardziej, że w górze wygląda na duży wiatr, kozice więc pewno pochowały się z tej strony. A jak nie, to jutro od rana będziemy szukać na górze. Jest ich tam masa. Ruja jest w pełni i kozły już nie chodzą osobno, jak latem, lecz trzymają się blisko stad. Często biją się do upadłego o panowanie nad stadem. Parę dni temu znaleźliśmy młodego kozła z rozprutym brzuchem. Szkoda go, ładna byłaby sztuka; musiał trafić na starego szelmę.



Podczas burzy śnieżnej. Fot. J. Regulski.

Słuchając gawędy starego, raźno szliśmy ku widniejącemu przed nami wspaniałemu masywowi skalnemu, przybranemu od dołu czarnem pasmem lasu. Białe plamy śniegu załamami skalnemi i żlebami biegły ku górze, łącząc się pod szczytem, spowitym w chmury, w jednolitą płaszczyznę śnieżną.

Już przeszło godzinę powoli i miarowym krokiem pniemy się pod górę. Śniegu coraz więcej. Coraz to nogi zapadają głęboko, łamiąc ostro podkutemi butami wierzchnią skorupę śniegu. Zaczynam mocno posapywać, z pod kapelusza leje się gorący pot, rzemień Mannlichera coraz mocniej dokucza na ramieniu.

Gassner, pomimo objuczenia bronią i plecakami, a przedewszystkiem pomimo swoich 65 lat, lekko idzie bez zatrzymania w górę. Zaczynam już być zły na niego, ale tylko w duchu, bo trudno mi jakoś zdobyć się na zażądanie odpoczynku.

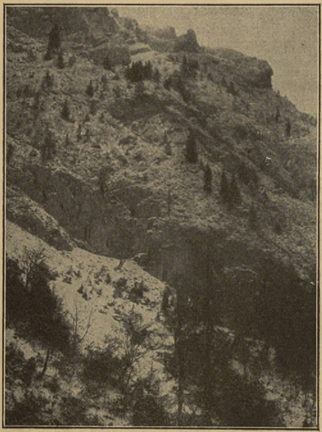
Nareszcie sam stanął.

— Niech pan wypali tutaj papierosa, bo trochę wyżej usiądziemy na otwartem miejscu i popatrzymy na drugą stronę. Mogą być kozice.

Zapaliłem papierosa, doprowadziłem zroszoną twarz do względnego porządku i wsparty na górskim kiju, z przyjemnością wielką wypoczywałem. Gassner pykał fajkę.

Po chwili ruszyliśmy dalej. U stóp bryły skalnej, kilkunastometrowej wysokości, Gassner złożył plecak i cicho, ostrożnie zaczął się drapać na wierzch skały. Ja za nim. W połowie drogi — omal nie katastrofa. Gwałtowny i niespodziewany podmuch wiatru, w chwili kiedy ostrożnie lokowałem nogę w ja-

kiejś szczelinie, o mało nie zrzucił mnie ze skały. Przylepiony do niej, jakoś utrzymałem równowagę, natomiast przy tej dość niezgrabnie wykonanej operacji tak mocno uderzyłem się kolanem o wystający kawałek skały, że świeczki w oczach mi stanęły. Ale jakoś wygramoliłem się wreszcie na wierzch.



Biała polanka, na której padły trzy kozice. Fot. J. Regulski.

Przed nami widok tak piękny, że zapomniałem szybko o kolanie. Tysiącmetrowa ściana granitowa, poorana głębokiemi bróździami, to znów przybrana w regularne zygzaki odłupanego kamienia, podcieniowana kępami krzewów i plamami śnieżnemi, spadała o 250 mtr. przed nami z pod chmur, głęboko w dół, aż do samej doliny. Z rozkoszą przyglądałem się tej wspaniałej i potężnej kreacji natury.

Już siedzimy przeszło pół godziny. Zgrzany podczas wspinania się, teraz, pomimo otulenia się peleryną, zaczynam ziębnąć, lekkie dreszcze coraz to przelatują od stóp do głów.

Naraz u samej góry pokazała się kozica, w podskokach zeszła szybko wskos po ścianie, mignęła parę razy w lasku i przepadła gdzieś w dole za skałą.

— To był dobry kozioł — mówi Gassner — szkoda, że się nie zatrzymał. Jednak zdążyłem mu się dobrze przyjrzeć przez lornetkę.

Kozice na zimę zmieniają zupełnie wygląd zewnętrzny. Latem są żółte, o nieco liliowym odcieniu, z brunatną pręgą na grzbiecie. Późną jesienią stają się czarno-brunatne, zachowując jedynie jasny, szaro-żółty kolor na podbrzuszu, podgardlu i łebku, po obu stronach którego od uszu i rogów, przez oko ku nosowi, biegną dwa podłużne trójkąty brunatne. Szerść im na zimę grubieje i gęstnieje, stwarzając futro solidne, mocno podbite puchem, tak niezbędne jako ochrona przed potężnemi mrozami i wichrami. Pozatem wzdłuż całego grzbietu wyrasta im dochodzący do dwudziestu centymetrów wysokości pióropusz sierści, t. zw. „Gamsbart", stanowiący cenne zimowe trofeum myśliwskie.

W zimowych szatach kozice wydają się znacznie grubsze, mniej zręczne, jakby bardziej ociężałe. Jest to wrażenie oczywiście tylko optyczne. Wystarczy zobaczyć je uciekające w podskokach po stromych skałach, ażeby upewnić się o ich niebywałej wprost zręczności. Muszę tu jednak dodać, że nawet taka zręczność często nie zdoła ochronić ich zimą przed śmiercią. Masy śnieżne, wprawiane w ruch, czasami i przez same kozice, zasypują je całemi stadami. Laviny śnieżne niektórych zim przynoszą wprost ogromne szkody w stanie kozic.

Zobaczyliśmy z naszej loży skalistej jeszcze parę sztuk, ale wszystkie w ruchu, jakieś niespokojne.

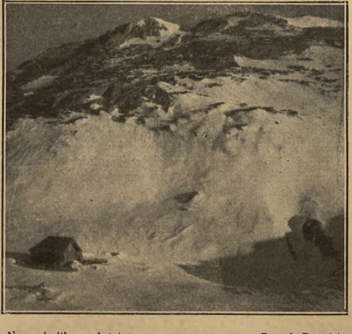
— Coś tam im się nie podoba, są zdenerwowane — kiwając głową mówi Gassner. Podniósł oczy ku górze, popatrzył na szare chmury, obwisające od szczytów i dodał: — Źle im tam jest, boją się szczytów i idą ku dołowi. No, co będzie, to będzie, trzeba się nam śpieszyć, żeby przed nocą dobrać się do koliby. Mamy przed sobą najcięższy kawałek drogi, a pogoda może nam zrobić niespodziankę. Niedobry jest ten wiatr.

Widziałem, że Gassner jest zafrasowany, nie chce mnie jednak niepokoić. Nie dopytywałem się o nic i ostro ruszyliśmy naprzód.

Szybko zaczyna ciemnieć, śnieg coraz większy, wicher mocno zaczyna dąć. Nie wiem, czy idziemy w górę, czy w dół, nogi coraz to zapadają się głęboko, śnieg, niesiony gwałtownemi podmuchami, siecze w twarz i oczy, dech zapiera. Wkoło nieprzeniknione ciemności. Gassner z trudem trzyma się ścieżki, dla mnie oczywiście niewidocznej. Chwilami zatrzymuje mnie, a sam brnie to w prawo, to w lewo, odszukując czerwone paliki, wskaźniki drogi. Nie widzę nic, prócz wąskiego promienia lampki elektrycznej, w którym fantastycznie wirują miljony migotliwych płatków śnieżnych.

Sytuacja nie jest z tych najprzyjemniejszych, ale nie denerwuję się nią. Te przymusowe odpoczynki, powtarzające się zresztą coraz częściej, sprawiają mi nawet przyjemność, mogę przynajmniej chwilę odpocząć. Nie wiem i nie pytam się, czy jesteśmy w niebezpieczeństwie, czy są tu blisko jakieś urwiska, czy daleko mamy do koliby, nieświadomość zwalnia mnie od obowiązku niepokojenia się i dobrze mi z tem. Przypominam sobie podobną sytuację z wielkiej wojny w Karpatach, kiedy z jednym żołnierzem, idąc na pozycję, zmożony siadłem pod świerkiem, podczas kiedy on szukał ścieżki zgubionej, jak rozkosznie się zdrzemnąłem, a w chwili kiedy żołnierz mnie odnalazł, już prawie po szyję zasypany byłem śniegiem.

Nie — mówię sobie teraz z chytrym uśmiechem — za nic na świecie więcej nie usiądę, kiedy śnieg sypie.



Nasza koliba pod śnieżnym szczytem. Fot. J. Regulski.

Późno już wieczorem dotarliśmy do koliby, właściwie do miejsca, gdzie się ona znajdowała, gdyż śnieg tak ją zawiał, że nie była prawie widoczną. Tragarz z prowiantem już pracował nad odkopaniem drzwi. Wzięliśmy z pod okapu łopaty i pomogliśmy mu. Dobrze się rozgrzałem przy tej robocie.

Z jakąż rozkoszą znalazłem się wreszcie w środku, na ławie. Szybko ogień buchnął w piecyku, potem herbata, kolacja. Ubranie początkowo zmarznięte, potem mokre, jakby z balji wyjęte, suszyło się. Strzelcy wyjęli z szafy pościel, zagrzali ją, potem posłali łóżko. Wyciągnąłem się. Co za cudo!

* * *

Kamiennym snem przespałem do 6-ej rano, kiedy Gassner zbudził mnie.

— Już czas, tylko niech pan nie wstaje, bo głowa może rozboleć. Lepiej się ubrać leżąc, to potem otworzę okno.

Nic nie rozumiem. Zwarjował stary, czy też mnie się śni?

— Nieszczęście, od godziny próbuję rozpalić ogień i nic nie wychodzi, wiatr wpycha cały dym do środka, oddychać już nie można, wody nawet zagrzać nie mogę.

Teraz dopiero zrozumiałem. W świetle lampki naftowej zauważyłem tuż nad sobą lekko falujący, gęsty woal dymu, poczułem gryzący jego zapach. Stoczyłem się wobec tego na podłogę i przykucnięty przy łóżku z trudem ubrałem się. Gassner otworzył okno, żeby wypuścić dym. Gwałtowny wicher ze śniegiem wpadł do środka. Z pieca, na skutek silnego ciągu, wyrwał się olbrzymi język ognia. Biedny Gassner prawie oszalał, nie wiedział czy ma okno zamykać, czy ogień zalewać. Z trudem dociągnąłem szarpane wichurą skrzydła okienne.

— O Jezu — stęknął Gassner — myślałem już, że dom się spali.

Tymczasem domek nasz wprawdzie nie palił się, natomiast cały trzeszczał w porywach wiatru. Na dworze przez całą noc szalała burza śnieżna. Pijemy lekko podgrzaną herbatę i radzimy, co robić.

— Nieszczęście, nieszczęście, — żali się biedny Gassner — tu na szczytach kozic niema i kto je wie, gdzie się one teraz pochowały.

— Przeczekamy trochę, może się uspokoi, — mówię — i popróbujemy szczęścia.

— Mało nadziei, taka burza zwykle trwa dwa, trzy dni, niema na co czekać. Niech pan będzie łaskaw ciepło się ubrać, wyjdziemy, może coś w załamach zobaczymy, a jak nie, to trzeba schodzić na dół.

Włożyłem na siebie wszystko, co miałem z sobą, okryłem się peleryną, kaptur na głowę i wychodzimy. Zaraz za drzwiami zakręciło nami tak, że peleryny stanęły dęba, nakrywając głowy. Trudno wprost utrzymać się na nogach. Wiatr z ogromną siłą, niosąc tumany śniegu, rzuca nami na wszystkie strony.

— Tu kozic niema, napewno są niżej, — mówi Gassner — ale próbujmy podejść do krawędzi, trzeba wyjrzeć, może jest co pod górną ścianą.

Poszliśmy. Wiele razy leżałem w śniegu, nie wiem. Twarz miałem zsieczoną śniegiem pomimo otulenia jej kapturem, coraz to zresztą zrywanym. Oczy bolały, peleryna co chwila, niby żagiel, wydymała się na wszystkie strony. Wkońcu przycupnąłem pod krzakiem zlodowaciałej kosodrzewiny, ażeby choć trochę tchu złapać. Dobrnęliśmy do krawędzi. Oczywiście nic tu niema. A gdyby nawet było, nie wiem jakbym strzelał. Lornetka i luneta, zlodowaciałym śniegiem całkowicie zaklejone, ręce zgrabiałe, z oczu łzy ciurkiem ciekną.

Po godzinie walki wróciliśmy do koliby. Odtajałem przy ogniu, napiłem się herbaty i niedługo znów w drogę, tylko powrotną, na dół. Miny pogrzebowe — tyle trudu na nic. Ano, cóż robić, różnie to bywa w naszym zawodzie myśliwskim.

Schodzimy wczorajszą naszą drogą. Poniżej zaczęło się trochę uciszać. W jakiejś kotlince niespodziewanie natknęliśmy się zbliska na stadko kozic. W popłochu skoczyły w bok i zniknęły za skałą, zanim zdążyliśmy zorjentować się, czy było wśród nich coś ciekawszego. Stanęliśmy już w lepszym nastroju. Ukazanie się zwierzyny odrazu wywołało w nas jakąś iskierkę nadziei. Po chwili wysoko przed nami pokazało się znów to samo stado. Kozioł odsadził się o kilkadziesiąt kroków i szedł już wolno poprzez wielki płat śnieżny, oglądając się na nas, bezpieczny na ten dystans.



Po ciężkich trudach nagroda. Fot. J. Regulski.

Poszliśmy dalej. Nad nami coraz jaśniej. Naraz wyłoniło się pełne słońce, chmury znikły za szczytami, wiatr ustał, góry wypiękniały.

— To nie do wiary, — mówi Gassner, — tutaj w Hochschwaben taka burza trwa zawsze dłużej. No, tem lepiej, teraz mamy jeszcze szanse, — dorzuca, zacierając ręce.

Wdrapujemy się na wczorajszą naszą skałę. Idę już ostrożniej, żeby nie zbić sobie drugiego kolana. Ściana przed nami oblana jaskrawem słońcem, gra pełnemi kolorami, mieni się. Pełni nadziei i zainteresowania badamy jej załamy, płaszczyzny śniegu, zarośla.

— Są, są — szepce namiętnie Gassner, — schowały się tutaj szelmy, a teraz grzeją się na słońcu. — O, jest kozioł, dobry, tam wysoko stoi na skale.

Widzę go, stoi nieruchomo nad samą krawędzią, przodem do nas, wpatrzony w dół.

— Zaraz pójdzie na dół, niech się pan przygotuje, — szepce gorączkowo strzelec.

Kozioł tymczasem ani drgnie, stoi, jak posąg. Wkońcu skoczył ku dołowi, znów stanął, ale ciągle przodem do nas, nie można więc ryzykować strzału.

Wkońcu zdecydował się i w podskokach ruszył wskos ku krzakom, gdzie stało stado. Już znika. Gassner zerwał się i zgięty pobiegł na dół. Ja za nim.

— Z następnego występu skalnego zobaczymy go. Tylko prędko i cicho, — szepce mi.

Biegniemy, kryjąc się za krzakami. Po chwili padamy na śnieg i, czołgając się, wydostajemy się na mały balkonik. Stąd widać całą ścianę, aż ku dolinie.

— Jest, jest, trzeci od dołu, pod świerkiem, prędko, prędko!..

Wierzę mu na słowo. W jaki sposób gołem okiem wśród kilkunastu kozic, na 220 mtr., wynalazł on właśnie tego kozła, nie wiem.

Zrywam gorączkowo kapsle z lunety, odbezpieczam, naciągam przyśpiesznik — mocny wdech — pociągam.

Strzał. Kozioł daje ogromnego susa i rusza ostro naprzód. Repetuję, strzelam. Padł, jak piorunem rażony. Równocześnie z różnych miejsc wyskoczyło kilkadziesiąt kozic. W szalonych susach poszły w górę w niebywałym popłochu.

— Weidmansheil! — radośnie woła Gassner.



Zdobycz jednego dnia. Fot. J. Regulski

Siódme poty na mnie biją, radość rozpiera, zapomniałem o burzy, o trudzie niedawnym. Widzę tylko kozła, leżącego na dalekiej śnieżnej polance, tak niespodzianie zdobytego.

Łyk koniaku z manierki na szczęście i na rozgrzewkę, szybka wymiana wrażeń. Pierwszy przyszedł do siebie Gassner.

— Trzeba jednak uważać, bo możemy jeszcze tu jaką sztukę zobaczyć, — rzucił, bacznie przyglądając się przeciwległej ścianie.

Nie upłynęło 15 minut, kiedy zwrócił uwagę na dwa czarne punkciki, idące w podskokach z dołu pod górę.

— To są oba kozły, ten pierwszy jest słabszy, ucieka przed następnym. O, ten drugi to wcale niezły, wartoby go dostać, — monologuje Gassner — doskonale, tak, tak, dobrze go prowadzi, muszą iść wzdłuż ściany przez lasek i potem wyjdą na polankę tam, gdzie był strzelany pierwszy.

Znieruchomieni, stoimy zapatrzeni w te dwie czarne, szybko rosnące plamki, ginące co chwila w żlebach, czy też za skałami i znów już wyżej ukazujące się. Wpadły do lasku, ściśle jak to przewidywał Gassner. Przez lornetki badamy lasek, staramy się je wyszukać wśród świerków.

— Uwaga, — szepce Gassner, — słabszy odskoczył w bok, mocniejszy jest na skraju i zaraz może wyskoczyć na polankę.

Oparłem Mannlichera o drzewo i czekam, patrząc przez lunetę.

Naraz wyskoczyła z lasku czarna kozica. Błyskawicznie zmierzyłem i strzelam. Padła na miejscu.

— To koza — rzuca Gassner.

— Jakto, — żachnąłem się speszony, — przecież mówił pan, że stoi kozioł.

— Tak, ale on stoi dalej, a wyskoczyła koza, musiała leżeć na brzegu lasku.

W tej chwili pokazała się i druga sztuka.

— To on, — szepce Gassner.

Bez chwili namysłu strzelam. Padł, zerwał się i skoczył naprzód. Strzelam drugi raz — ruluje.

Emocje niesłychane. W ciągu pół godziny trzy sztuki. To nagroda wspaniała za niedawne tak ciężkie przeżycia i trudy.

Martwię się tą kozą, ale Gassner twierdzi, że wszystko jest w porządku, gdyż w tym roku bardzo mało strzelano kóz, a to była stara i jałowa koza, której należało się już zejść z tego świata.

Fotografje, posiłek i wspólna szalona radość.

Do kozic moich daleka droga. Trzeba obejść dolinę, żeby do nich się dostać. Muszę pomódz staremu, bo z trzema sztukami nie da sobie rady. Był to jednak może jedyny odcinek mojej wędrówki górskiej, który lekko i bez zmęczenia przeszedłem.

Kozice leżały o kilkadziesiąt kroków jedna od drugiej. Pierwszy kozioł był wspaniały, wagi co najmniej 35 kg., 8 do 10 lat, rogi zupełnie dobre, jak na tę okolicę, gdyż słabsze są tutaj naogół, niż w Karyntji. Natomiast broda na grzbiecie wspaniała.

— Będzie z tego piękny pendzel do kapelusza. Wart conajmniej 160 szylingów — mówił z lubością Gassner.

Drugi kozioł trochę słabszy, koza natomiast to już staruszka, przeszło 10-letnia.

Ciekawe jest, że oba kozły miały pierwsze kule doskonale ulokowane, jeden na komorze, drugi wysoko między żebrami, a pomimo to nie padły na miejscu. Gassner twierdzi, że podczas rui kozice są niesłychanie twarde.

Powiązaliśmy kozice za rogi i ruszyliśmy z góry w stronę doliny, ciągnąc je bez trudu po śniegu.

U stóp góry złożyliśmy je w lesie i szybko poszliśmy do domu, skąd tragarz miał pojechać wózkiem po kozice.

Na progu wita mnie wiedeński myśliwy, który polował na innych terenach.

— Niepokoiliśmy się tutaj bardzo o pana, widząc stąd ten huragan śnieżny, — mówił. — Musiał się pan bardzo zmęczyć. No, ale wszystko dobre, co się dobrze kończy, szkoda tylko, że tyle trudu pana poszło na marne.

— Dziękuję za dobre słowo, — odpowiadam, — było rzeczywiście dość ciężko, ale na rezultat nie mogę się uskarżać, bo trzy sztuki położyłem. Właśnie posyłam po nie wózek.

Niemca aż zatknęło. Szeroko oczy otworzył i narazie zdołał tylko powiedzieć: — Nie do wiary, nie do wiary.

Przygoda ta dała mi jeszcze raz dowód, że niema stanowiska, ani sytuacji podczas polowania, któreby były beznadziejne.

(Dok. nast.)

JANUSZ REGULSKI.

„MODY“ W KNIEI

Wobec nastającego sezonu zimowego, aktualną się staje, ku wielkiej zresztą przyjemności nas wszystkich, kwestja broni do kniei. Broni dwojakiej, t. j. kulowej i śrutowej, albowiem w Polsce jesteśmy jeszcze w tem bardzo szczęśliwem położeniu, że w ogromnej większości miotów kniejowych możemy się spodziewać — prócz zwierzyny drobnej, zająca i lisa, także i pojawienia się zwierza godnego kuli, t. j. dzika.

Nasuwa się tedy konieczność posiadania takiego uzbrojenia, które pozwoliłoby łatwo i szybko dostosować się do rodzaju zwierzyny, idącej na myśliwego. Bardzo wiele zdań na temat właściwego rozwiązania wciąż słyszymy, a nawet można łatwo zauważyć panowanie wielce zmiennej „mody" w tej materji wśród naszych myśliwych.

W okresie przedwojennym na poważnych polowaniach kniejowych panowała niepodzielnie moda podwójnego sztucera oraz dubeltówki. Wśród poważnych myśliwych (z wyłączeniem zresztą kresowych, których warunki są nieco odmienne) nie widziało się prawie zupełnie drylingów, każdy natomiast z nemrodów występował z dwoma broniami, z tem zresztą, iż zwykle miał za sobą strzelca, trzymającego mu drugą strzelbę.

System ten posiada niewątpliwie pewne zalety, ale także i bardzo duże wady. Dobrze wykonany sztucer podwójny, nawet do bardzo silnych naboi (9,3 × 74, a dawniej — jeszcze lepszy: 10,75 × 52) jest bronią zgrabną, niezbyt ciężką i nadzwyczajnie składną. W gruncie rzeczy wygląda tak, jak ślicznie zrobiona dubeltówka w kalibrze 28 lub 32, jest tylko znacznie cięższy. Posiadanie takiego sztucera przemawia przedewszystkiem do serca prawdziwych amatorów pięknej, estetycznej broni, gdyż w żadnej innej nie daje się uzyskać tak ładnej linji zewnętrznej. Pod względem balistycznym sztucer podwójny, dobrze wykonany, zupełnie nie ustępuje jakiejkolwiek innej broni kulowej na odległości niewielkiej, powiedzmy do 100 m., a prócz swej lekkości względnej i składności, daje tę ogromną zaletę, iż przedstawia strzelcowi do rozporządzenia dwa strzały — bez żadnej manipulacji.

Sytuacja się jednak bardzo komplikuje, jeżeli rozważać kwestję użycia obu broni, t. j. sztucera i śrutówki, a nietylko jednej z nich: Myśliwy nigdy nie ma i nie może mieć pewności, że ma w ręku tę właśnie broń, która mu w danej chwili będzie potrzebną, zwłaszcza jeżeli stoi w gęstym zagajniku, w którym mignięcie zwierzyny trwa parę sekund zaledwie. Ze strzelania do zajęcy można łatwo zrezygnować, jeżeli wchodzi w grę zwierzyna gruba, szkoda natomiast lisów, do których znów strzał kulą jest niezmiernie trudny i wątpliwy, ponadto lis, trafiony kulą dużego kalibru, jest zwykle tak rozszarpany, że właściwie szkoda go podnosić. Każdy myśliwy polujący z dwoma broniami napewno przypomni sobie o niejednym wypadku, gdy gorzko żałował, że miał w ręku sztucer a nie śrutówkę, i naodwrót — gdy szybki ruch, celem wzięcia sztucera a oddania śrutówki, skłonił grubego odyńca do zniknięcia, niczem duch, w gąszczu.

Dla rozwiązania tej trudnej sytuacji, od bardzo dawna istnieją drylingi czyli trojaki. Przed wojną spotykaliśmy je bądź to w Poznańskiem, bądź to na kresach, gdzie możliwości kniei są jeszcze bardziej wszechstronne, gdyż wchodzi w grę zwierz jeszcze rzadszy i cenniejszy — wilk i ryś. Byli i są zresztą zwolennicy strzału do wilka wyłącznie kulą, z wielu względów mają oni rację, ale znów niezawsze strzał kulą do tej cennej zdobyczy jest możliwy. Jest to zresztą wcale inna historja.

Bieżący typ dawniejszego drylinga miał dwie lufy śrutowe i jedną — kulową. Kombinacja ta, doskonała w kniejach kresowych, gdzie zwierzyny do kuli jest niedużo, zdawała się nieodpowiednią większości myśliwym, polującym w dobrych dziczych kniejach. Stąd pojawiło się rozwiązanie następne: dryling o dwóch kulach i jednej lufie śrutowej, na który to typ broni obecnie w Polsce panuje moda.

Przeciwnicy tej broni twierdzą przedewszystkiem, iż jest ona niebezpieczną, albowiem przy dążeniu do lekkości poświęca się zbyt wiele materjału w lufach kulowych i te właśnie miałyby być zbyt cienkie. Zdaniem naszem twierdzenie to jest zupełnie niesłuszne, o ile nie przesadzać przy dobieraniu zbyt silnej amunicji, do danej broni niedopasowanej. Wszystkie lufy drylingów są badane na wytrzymałość z największem staraniem przy ciśnieniu przewyższającem o wiele te, jakie dają normalne naboje do danej broni. Badanie odbywa się w dodatku nie u fabrykanta, a w zupełnie bezstronnym, państwowym zakładzie probierczym. W każdym wypadku rozerwania luf, należy się raczej doszukiwać bądź to zatkania samych luf przez jakieś obce ciało, bądź to użycia amunicji niewłaściwej, nie kupionej w opakowaniu fabrycznem.

Inny zarzut, jaki się dwu-kulowym trojakom stawia, to zarzut co do icb wagi. To jest sprawa poważniejsza, i o wiele trudniejsza do odparcia. Broń taka bezwzględnie musi być ciężka, jeżeli jest zbudowaną do naboi sporego kalibru, zupełnie na dzika wystarczających. W dodatku zarówno rusznikarze, jak i myśliwi, robią bardzo poważny błąd, gdy żądają broni lekkiej dwukulowej i ważą ją, aby się przekonać czy rzeczywiście jest lekką. Chodzi bowiem nietyle o wagę, co *o zrównoważenie broni*. Broń źle zrównoważona, t. j. mająca ciężkie lufy przy lekkiej baskili i kolbie, wydaje się w użyciu o wiele cięższą od broni o większej wadze, a lepiej zrównoważonej. Trzeba bowiem pamiętać, że wykonujemy główny wysiłek przy skierowaniu broni na cel — nie zapomocą obu rąk, a prawie wyłącznie zapomocą ręki lewej, i im mniej wagi jest w lewem ręku, tem lżejszą wydaje nam się cała broń.

Otóż rusznikarz sumienny, od którego żądamy trojaka do silnych naboi a lekkiego, może rzeczywiście zrobić go dość lekkim 3.3 kg. przy dwóch lufach 9.3×74 i jednej lufie kal. 16, jednakże jeżeli jest uczciwym, to wykona lufy ważące tyle, ile one muszą ważyć dla całkowitego bezpieczeństwa, a ujmie wagi w kolbie, robiąc ją szczuplejszą i cieńszą, w zamkach it.p. it.p. I właśnie taki dryling wyda nam się cięższym, niż gdybyśmy do kolby włożyli blisko 500 gramów ołowiu, podnosząc jego wagę do 3,800 kg. ale polepszając znacznie równowagę.

Kilkakrotnie zdarzyło mi się w ten sposób polepszyć równowagę dwukulowych drylingów, — wynik jest zawsze doskonały.

Myśliwy normalny może z powodzeniem nosić po kniei i używać broni o wadze 4 kg., o ile jest właściwie zrównoważona. Sprawa równowagi tłomaczy kwestję pozornie ogromnej wagi sztucerów podwójnych wybitnych fabrykantów angielskich. Sztucery te, nawet przy nabojach o średniej mocy ważą 4 kg. i powyżej. Dlaczego — jeżeli rusznikarz niemiecki może je wykonać przy wadze 3,3 kg.? Dlatego właśnie, że fabrykant angielski nie wypuści broni niewłaściwie zrównoważonej, a klijent niechaj sobie nosi, za to niech nie ma lewej ręki zupełnie zdrętwiałej i zmęczonej po całodziennem staniu z bronią w pogotowiu w kniei.

Broń, która jest ciężką w lufach nadmiernie, zwalnia szybkość składania się, jakgdyby paraliżuje lewą rękę i po kilku miotach daje się to odczuć w sposób bardzo nieprzyjemny.

Jakaż jest na to rada, jeżeli nie chcemy zgodzić się na broń dobrze zrównoważoną o wadze 3,8 kg., a żądamy koniecznie broni ważącej nie ponad 3,3 kg?

(Dok. nast.).

J. PODOSKI

PRZY OGNISKU

Ogień trzaska wesoło w kolibie. Błogie ciepło promieniuje wokoło, tem przyjemniejsze, że szczyt Chomu, pod którym nocujemy, ogarnęły mgły czy chmury, mniejsza z tem, jak to zwać, ale pełno przejmującej wilgoci. Od potężnych płatów śniegu, o wiele jeszcze ponad metr głębokich, ciągnie chłód. Ciemnica na dworze, coś okropnego, na krok nic nie widać, nawet tam, gdzie leżą płaty śniegu. Mgła wszystko zatopiła w jednolitą, beznadziejnie mroczną głębię. Bieda będzie trafić w nocy na tokowisko, do zasadzonych kogutów, chociaż niedaleko, nie więcej jak kroków 400.

O czem tu gawędzić, zanim uwarzy się posiłek, najpierw dla nas, polowańczyków, potem dla leśniczego, a wreszcie dla gajowych, gdyż naraz nie da rady, naczynia nie wystarczy. Ano, gawędzi się oczywiście o zdarzeniach leśnych. Wiadomo, najgrubszy zwierz, przemyślny miś, najciekawszych dostarcza opowieści.

Ot, przed dwoma laty idzie sobie gajowy na most na Mizunce, patrzy, coś na lodzie boryka się. Podszedł bliżej na wysoki brzeg i widzi, jak wielki dzik walczy z misiem. Jeden doskakuje do drugiego... z obu posoka ciecze... Miś znów zdzielił dzika łapą, aż ten przysiadł, a miś dalejże drzeć skórę od zadu do łba. Dzik zwalił się na lód, jeszcze dycha, a miś znosi kłody i gałęzie, dzika nakrył, pomruczał i kołysząc wielkim łbem, poszedł hen... gdzieś na Czorną Sychłę. — Co za licho skłoniło do walki obu potentatów, tego nikt do docieknie.

Innym razem wilki zimą zarżnęły łanię nad zawalonym kłodami zworem. Pech chciał, że miś miał tam gawrę. Zbudziło go ze snu zamieszanie i rwetes, jaki wilki wyczyniały, wylazł z gawry, wilki przepędził i łanię zeżarł. — Chytry Wasylko wszystko spenetrował, jeszcze przez ciekawość zajrzał do sąsiedniego wypróchniałego jaworu, może kunę znajdzie... A tu jak nie parsknie stara... prosto w nos gajowego. Ledwo zdążył odskoczyć i w nogi. Nie wierzył leśniczy Wasylce, poszedł na drugi dzień sprawdzać — wszystko na śniegu wyraźnie napisane było: jak wilki łanię dopadły, wkroczenie misia, jego uczta, ślady gajowego do jaworu i trop wyjściowy starej z piastunem. Miał chłop szczęście, że zdążył drapnąć. — Z innej biedy też się udało Wasylowi wykręcić. Dobrze, że miś nie był wielki. Prawie nań nadepnął na zrębie, w maliniakach. Miś podniósł się na zadnie łapy, a przednią sięga do głowy gajowego. Ot, bieda! Nie bardzo się Wasylowi uśmiecha, aby mu miś czuprynę pazurami przeczesał, a tu tylko okuty kij w ręku. Wetknął misiowi okuty koniec do brzucha, odpycha od siebie i: a hu!! pokrzykuje. — Pomruczał miś, pomruczał, parsknął jeszcze ze dwa razy, odstąpił, głową pokiwał i zabrał się do zworu. — Odetchnął Wasyl i teraz już zawsze z karabinem chodzi.

Pędził hucuł jesienią swe owce, aż tu z urwiska miś skoczył w sam środek stada. — Zamieszanie pierwszej klasy... Chłopak miał na sobie narzucony kożuch do góry włosem. — Z rozpaczy i strachu zerwał kożuch z ramion i misiowi na łeb zarzucił.—Uff! Prawie atak gazowy... tak mieć głowę w kożuch huculski zawiniętą. Zamroczyło też widać dobrze misia, gdyż mruknął nieswojo i jednym susem znikł tak, jak się ukazał.

Gorzej przydarzyło się hucułowi pod Wysokim Wierchem, nad Wołosianką. Posiał sobie owies wysoko, cóż, kiedy ledwie owies dojrzewać zaczął, miś zasmakował w soczystych wiechach i co noc pólko nachodził. Zmartwił się Iwan i postanowił nieproszonego gościa przepędzić. Naznosił z boru kłód a gałęzi bukowych grubych, z wieczora rozpalił ognisko wielkie, a miś już w owsie mlaska. Rzucił Iwan jednem i drugiem płonącem polanem, wróg ustąpił nieco, ale słychać go na skraju lasu. Chwycił Iwan rozpaloną kłodę i pędzi misia. Ale nieroztropnie, już pewny swego, cisnął kłodą na misia, będąc zdala od ogniska... Ledwo się odwrócił, a niedźwiedź już na nim siedzi. Łapą przez głowę zdzielił, pod las powlókł, żebra połamał, brzuch rozpruł, do rowu cisnął, kamieniami, kłodami nakrył, pomruczał i poszedł gdzieś na Rożankę, skąd rodem. — Na drugi dzień chłopa odnaleźli sąsiedzi, ale choć autem, do szpitala po ratunek żywego dowieść nie zdołali.

A na granicy czeskiej, gdzieś nad Jelonkowatem, znaleziono parę lat temu strażnika czeskiego — leżał koło niedźwiedzia, obaj martwi. Niedźwiedź miał 9 kul w sobie, dziesiąta była w lufie, ale już strażnik wystrzelić nie zdążył, gdyż miś ostatkiem sił wykończył go... A jak to w maliniaku miś dziewuchę pokaleczył, gałęziami nakrył, dobrze, że tylko na strachu się skończyło... Gdzieś w Sławsku czy Wołowiance żyje sobie baba, której, gdy pod lasem spała, niedźwiedź najpierw płat ciała na boku wyżarł, potem gałęziami nakrył i poszedł. Stara i chuda była, to ją widać uratowało.

Późno się zrobiło. Trzeba spać. Kładziemy się na pryczach, grubo czetyną wyścielonych. Gorzej, gdy drzwi zamknięte — ostry dym włazi do nosa, gardła, gryzie w oczy. Zasłaniam głowę płaszczem, jak tylko mogę, wydłubuję ze szpary między belkami mech, aby chociaż trochę czystego powietrza złapać. — A ten pan Kazimierz już chrapie na całego. Widać dym go upoił. Zazdroszczę serdecznie. Ale rano dostałem koguta, choć po ciężkiej pracy, a on nie. Ponoć z przyrzutu strzelił...

JERZY BŁESZYŃSKI.

ROZPORZĄDZENIE WŁADZ

Od Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych otrzymaliśmy pismo okólne w sprawie importu z Czechosłowacji do Polski zajęcy i królików żywych lub bitych — wydane w łączności z obawą zawleczenia do Polski epidemji tularemii — które podajemy niżej:

Warszawa, dnia 16 listopada 1937 r.
Nr. W. XI. 21/19.

„W związku z pismem okólnym Ministerstwa Nr. W. XI. 21/19 z dnia 19.VII. r. b. Ministerstwo, po porozumieniu się z Ministerstwem Zemedelstvi w Pradze, komunikuje, że zające i króliki żywe lub zabite mogą być z Czechosłowacji przywożone do Polski i przewożone przez Polskę pod warunkiem, że będą zaopatrzone w zaświadczenie, wydane przez właściwego urzędowego lekarza weterynaryjnego, stwierdzające, że w miejscowości, z której wymienione zwierzęta pochodzą i w miejscowościach okolicznych, znajdujących się w odległości 20 km. od miejsca pochodzenia, nie stwierdzono tularemii w ostatnich 6 miesiącach.

GŁÓWNY INSPEKTOR WETERYNARJI".

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA ZARZĄDU ZWIĄZKU Z DNIA 7 PAŹDZIERNIKA 1937. R.

Obradom przewodniczył P. Prezes Generał Broni Kazimierz Sosnkowski, obecni byli P.P.: Wiceprezesi — Inż. Leopold Skulski, Gen Dyw. Kazimierz Fabrycy, Konstanty Chłapowski, Maurycy Hr. Potocki, Członkowie — Juljusz Hr. Bielski, Mikołaj Dolanowski, Jerzy Dylewski, Red. Walenty Garczyński, Bohdan Gędziorowski, Prof. Józef Gieysztor, Kazimierz Kamieński, Inż. Herman Knothe, Józef Krauze, Konrad Landsberg, Dr. Adam Lardemer, Czesław Lisowski, Dr. Jan Łukowicz, Michał Pawlikowski, Karol Ks. Radziwiłł, Janusz Regulski, Dr Edward Skowroński, Józef Skrzypek, Aleksander Steinhagen, Wacław Szperling, Andrzej Śliwiński, Inż Tadeusz Śliwiński, Kazimierz Świderski, Inż. Kazimierz Tołłoczko, Dr. Aleksander Tallen-Wilczewski, Dr. Józef Żenczykowski; w zastępstwie Prezesów Oddziałów — Inż. Konstanty Komierowski z Białegostoku i Inż. Antoni Rowiński z Katowic; w charakterze gości — Inż. Józef Pierożyński z Kielc, Adam Hr. Starzeński z Krakowa, Stanisław Madeyski z Łucka i Leon Radliński z Lublina; sekretarzował Jerzy Boskiewicz.

Nieobecność usprawiedliwili P.P.: Wiceprezes Bolesław Świętorzecki, Członkowie — Stanisław Beszczyński, Inż. Jan Grabowski, Szamb. Tomasz Komierowski, Jan Koźmian, Roman Hr. Potocki, Olgierd Stetkiewicz i Aleksander Ulm.

Pan Prezes Generał Sosnkowski, otwierając obrady, powitał zebranych, zwracając się zaś do obecnych po raz pierwszy nowowybranych Prezesów Oddziałów Związku, wyraził przekonanie, że współpraca ich nad rozwojem organizacji przyniesie łowiectwu polskiemu korzyść i pożytek

Protokół posiedzenia Zarządu z dnia 14 marca r. b. przyjęto bez zmian.

W łączności z wystąpieniem do Międzynarodowej Rady Łowieckiej (Conseil International de la Chasse) niektórych jej członków polskich z wnioskiem o zmianę postanowienia statutu tej organizacji w sprawie sposobu kompletowania członków. Wydział Wykonawczy Związku przedłożył Zarządowi projekt utworzenia przy Polskim Związku Łowieckim Sekcji do spraw Międzynarodowej Rady Łowieckiej i uznania obecnego składu polskich członków — za reprezentację łowiectwa polskiego. Jednocześnie Wydział Wykonawczy Związku przygotował projekt regulaminu tej Sekcji oraz projekty pism do P.P. Ministrów Spraw Wewnętrznych i Spraw Zagranicznych.

Po wypowiedzeniu się w tej sprawie P. Prezesa Generała Sosnkowskiego, w dyskusji zabierali głos P.P. Świderski, Garczyński, Hr. Bielski, Chłapowski i Prof. Gieysztor.

Zarząd Związku uznał, że ze względu na obecny charakter Międzynarodowej Rady Łowieckiej, której członkowie wybierani są indywidualnie, a nie jako reprezentacje narodowe poszczególnych państw, wniosek Wydziału Wykonawczego nie jest jeszcze aktualny.

Nadto Zarząd Związku wyraził pod adresem tych polskich członków Międzynarodowej Rady Łowieckiej, którzy zgłosili wniosek o zmianę statutu tej organizacji, desiderium, aby — przed zgłoszeniem tego wniosku na plenarnem posiedzeniu Międzynarodowej Rady Łowieckiej — przeprowadzili wstępne rozmowy z prezydjum Rady i przedstawicielami innych narodowości, celem zbadania szans.

Informacyjne sprawozdanie Komitetu Organizacyjnego Polskiego Działu Międzynarodowego Wystawy Łowieckiej w Berlinie przedstawił Zarządowi Związku P. Dyr. Śliwiński.

Prace Komitetu zostały już zakończone i transport, obejmujący tysiąc kilkaset eksponatów, odszedł już do Berlina.

Wśród eksponatów polskich znajduje się:

rosoch łosi	38,
wieńców jeleni	162,
poroży sarn	212,
szabel dzików	206,
skór rysi	58,
skór niedźwiedzi	9,
skór wilków	82,
skór rysi	58 i wiele innych.

Po za trofeami myśliwskiemi z obecnych czasów, znajdą się w Polskim Dziale Wystawy eksponaty zabytkowe w postaci głów żubrów i turów, starych broni i t. p.

Niezależnie od trofeów, wysłano do Berlina 70 fotografij myśliwskich konkursowych i 45 dekoracyjnych.

Z wysyłką obrazów myśliwskich, wybranych z wystawy w Zachęcie Sztuk Pięknych pod nazwą „Łowiectwo w sztuce" — Komitet ma pewne trudności wobec niedostatecznej wysokości sum asekuracyjnych, zapewnionych przez główny Komitet berliński, a braku kredytu na dodatkowe ubezpieczenie tych obrazów.

Zarząd Związku, przyjmując powyższe informacyjne sprawozdanie do wiadomości, złożył Komitetowi Organizacyjnemu Polskiegu Działu Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej podziękowanie za zgromadzenie tak wielu cennych eksponatów i wyraził przekonanie, że łowiectwo polskie będzie na Wystawie berlińskiej godnie reprezentowane.

Jednocześnie Zarząd Związku uznał, iż w wypadku nieotrzymania przez Komitet Organizacyjny kredytu na dodatkowe ubezpieczenie wszystkich zakwalifikowanych obrazów — byłoby raczej wskazane wogóle zrezygnowanie z osobnej wystawy dzieł sztuki; natomiast pożądane byłoby wówczas wysłać kilka piękniejszych płócien i umieścić je wśród trofeów, wiążąc przytem treść obrazu z odnośnym działem eksponatów.

Sprawozdanie z wyników reorganizacji Związku na podstawie nowego statutu brzmi, jak następuje:

W większości województw reorganizacja Polskiego Związku Łowieckiego przybrała już formy realne.

Tymczasowe Wojewódzkie Rady Łowieckie, powołane przez Prezydjum Związku, albo przeistoczone z dotychczasowych Oddziałów Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich — dokonały przyjęcia członków zwyczajnych Związku i mianowały Łowczych i Podłowczych Powiatowych, którzy z kolei zwołali Walne Zgromadzenia Powiatowe, konstytuujące Powiatowe Rady Łowieckie i wyłaniające delegatów na Walne Zgromadzenia Wojewódzkie.

Do dnia 1 października odbyły się Walne Zgromadzenia Wojewódzkie, na których dokonano wyboru Wojewódzkich Rad Łowieckich oraz delegatów na Walne Zgromadzenie Związku, w następujących województwach:

śląskiem — 31 maja, w Katowicach,
kieleckiem — 8 czerwca, w Kielcach,
wileńskiem i nowogródzkiem łącznie — 13 czerwca, w Wilnie,
poznańskiem — 28 czerwca, w Poznaniu,
poleskiem — 10 lipca, w Brześciu n/Bugiem,
pomorskiem — 15 lipca, w Toruniu,
lubelskiem — 29 sierpnia, w Lublinie,
wołyńskiem — 17 września, w Łucku.

Przedstawiciele centralnych władz Związku delegowani byli na Walne Zgromadzenia Wojewódzkie w Kielcach, w Wilnie i w Brześciu n/Bugiem.

Nie odbyły się dotąd jeszcze Walne Zgromadzenia w województwach, objętych działalnością Oddziału Związku we Lwowie, Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, a więc krakowskiem, lwowskiem, stanisławowskiem i tarnopolskiem, oraz w województwach białostockiem, łódzkiem i warszawskiem z m. Warszawą.

Lwowski Oddział Związku, Małopolskie Towarzystwo Łowieckie, nadesłał oświadczenie, że na terenie jego działalności prace reorganizacyjne będą mogły być zrealizowane dopiero do końca roku bieżącego.

Dane cyfrowe, dotyczące stanu organizacji Związku, zestawione na podstawie sprawozdań Oddziałów, lub — w braku sprawozdań — na podstawie ksiąg buchalteryjnych w dziale opłaconych składek, są następujące:

Oddział w:	Człon-ków zw.	Człon-ków nadzw.	Łow-czych	Pod-łow.
Białymstoku	246	34	11	36
Kielcach	400	29	15	40
Lwowie (kr. lw. st. tr.)	948	133	65	128
Lublinie	519	23	19	89
Łodzi	173		12	30
Wilnie (nw. wl.)	363	131	17	45
Brześciu n/B.	300	70	9	76
Toruniu	460	87	16	69
Poznaniu	1084	206	23	59
Katowicach	198	155	8	28
Warszawie	623	79	21	45
Łucku	331	30	11	77
	5645	977	227	722

Łącznie członków zwyczajnych i nadzwyczajnych Związek liczy 6.622.

W porównaniu do roku ubiegłego liczba członków Związku, ogólnie biorąc, wzrosła o prawie 2.000 (w r. ub. było zrzeszonych 4.635), należy jednak zaznaczyć, że nie wszystkie jeszcze dawne Stowarzyszenia Związkowe nadesłały właściwym Oddziałom nowowypełnione deklaracje od swych poszczególnych członków, niektóre zaś Stowarzyszenia akcji tej wcale nie podjęły.

Z prowizorycznych obliczeń wnioskować można, że z pośród osób, dotychczas zrzeszonych w charakterze członków popierających (przez Stowarzyszenia) — na członków zwyczajnych — przystąpiło około 3300, na członków nadzwyczajnych — około 300; nie zgłosiło natomiast swego akcesu około 1.000 dawnych członków popierających.

Efektywnym więc wynikiem reorganizacji jest pozyskanie dla Związku około 3.000 myśliwych, dotychczas nie zrzeszonych.

Łowczowie Powiatowi nie zostali jeszcze mianowani w 16 powiatach:

Augustów — województwa białostockiego,
Częstochowa i Kozienice — woj. kieleckiego,
Dobromil, Przemyśl i Turka — województwa lwowskiego,
Kolomyja i Żydaczów — województwa stanisławowskiego,
Brody i Kamionka — województwa tarnopolskiego,
Chodzież, Ostrów, Śrem i Środa — województwa poznańskiego,
oraz Błonie i Sierpc — województwa warszawskiego.

Sprawozdanie finansowe Związku za pierwsze półrocze r. b. wykazało pewną nadwyżkę zarówno wpływów, jak i wydatków w stosunku do preliminarza budżetowego. Ze sprawozdania tego jednak wynika, że niektóre Oddziały nieregularnie przekazują Związkowi przypadające składki członkowskie, zatrzymując więcej, niż 50% wpływów.

P. Chłapowski, w imieniu Oddziału Związku w Poznaniu, złożył preliminarz budżetowy na rok 1937 z wnioskiem o przyznanie temu Oddziałowi nie 50%, ale 75% wpływów ze składek członkowskich.

P. Wiceprezes Inż. Skulski podkreślił, że wykazane w sprawozdaniu wyniki reorganizacji, osiągnięte już w pierwszym roku po wprowadzeniu w życie nowego statutu, stwierdzają, iż Związek wkroczył na właściwe tory i budzą jak najlepsze nadzieje na przyszłość. Jeżeli jednak chodzi o sprawy finansowe, to zatrzymywanie przez Oddziały sum, należnych Związkowi, jest niedopuszczalne; doświadczenie lat ubiegłych dostatecznie wykazało, że bezwzględnie konieczne jest ścisłe przestrzeganie regularności wpłat składek członkowskich. P. Inż. Skulski apeluje do przedstawicieli Oddziałów, aby dopilnowali niezwłocznego przekazania centrali całkowitej należności.

P. Dr. Lardemer wyraził przekonanie, że Oddział Związku we Lwowie, Małopolskie Towarzystwo Łowieckie, ukończy pracę reorganizacyjną przed upływem roku bieżącego, zaznaczył przytem, iż województwo krakowskie zwłoki nie spowoduje.

P. Dyr. Gędziorowski stwierdził, że reorganizacja, podjęta na podstawie nowego statutu Związku, daje pomyślne rezultaty. Liczba zrzeszonych myśliwych wciąż wzrasta i wzrastać będzie nadal, trzeba tylko, by poszczególne Oddziały prowadziły wytrwałą akcję. P. Gędziorowski podkreślił następnie, że 50% wpływów ze składek członkowskich stanowi depozyt, należny centrali, którego Oddziały nie mają prawa zatrzymywać. Oddziały Związku winny ograniczać się do jak najkonieczniejszych wydatków. Biura Oddziałów zorganizować należy jak najskromniej.

P. Pawlikowski oświadczył, że z terenu Oddziału Związku w Wilnie całkowite składki wpłacane są bezpośrednio na konto P.K.O. Związku.

P. Inż. Pierożyński zaznaczył, iż Kielecka Wojewódzka Rada Łowiecka regularnie przekazuje należne sumy Związkowi.

W dalszej dyskusji głos zabierali P. P. Krauze, Dr. Łukowicz, Dr. Skowroński, Madeyski, Lisowski i Inż. Rowiński.

P.P. Dr. Łukowicz, Inż. Rowiński, Krauze i Madeyski wysunęli propozycję podziału procentowego składek członkowskich między centralę, województwo i powiat.

Poruszono nadto kwestję kosztów podróży Łowczych i Podłowczych w sprawach organizacyjnych.

Wydział Wykonawczy Związku przedstawił w tej sprawie opinję, że wydatki, związane ze zwrotem kosztów podróży Łowczych i Podłowczych, winny być uwzględnione w preliminarzach budżetowych Oddziałów, ale jedynie w tych województwach, gdzie stosunki komunikacyjne oraz odległości istotnie powodują znaczniejsze koszty przejazdów.

Pan Prezes Generał Sosnkowski podkreślił, iż w wyniku podjętej reorganizacji stwierdzić trzeba wzrost liczby członków Związku o blisko 2.000, zwiększenie efektywnych wpływów kasowych oraz ożywienie atmosfery ogólnej w świecie myśliwskim, a więc rezultaty niewątpliwie dodatnie.

Zgodnie z wnioskiem Pana Prezesa, Zarząd Związku, przyjmując do wiadomości z żywem zadowoleniem sprawozdanie o wynikach reorganizacji Związku, wyraził podziękowanie za tak owocną pracę. P. Wiceprezesowi Związku Inż. Leopoldowi Skulskiemu i P. Przewodniczącemu Wydziału Wykonawczego Prof. Józefowi Gieysztorowi.

W myśl wniosku Pana Prezesa Generała Sosnokowskiego, Zarząd uchwalił zlecić Wojewódzkim Radom Łowieckim zamknięcie budżetów Oddziałów Związku (wraz z budżetami powiatów) w granicach 50% wpływów ze składek członkowskich, uznając za przedwczesną debatę nad zgłoszonemi w toku dyskusji wnioskami o inny podział funduszów.

Natomiast po zakończeniu reorganizacji Związku i zorjentowaniu się co do możliwości i potrzeb finansowych — Naczelna Rada Łowiecka, w wypadkach specjalnych, będzie mogła z nadwyżek budżetowych udzielać Oddziałom subsydjów na ściśle określone cele.

P. Inż. Pierożyński złożył Zarządowi następujący wniosek Kieleckiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej:

— Kielecka Wojewódzka Rada Łowiecka, na skutek skarg, dochodzących na orzeczenia sądów rozjemczych do spraw o wynagradzanie szkód łowieckich, o rozpatrzeniu powyższej sprawy, jednogłośnie uchwaliła przedstawić Naczelnej Radzie Łowieckiej konieczność uzyskania zmian w istniejących przepisach prawa — w celu osiągnięcia zupełnej bezstronności w orzeczeniach, jak też możliwości zaskarżania decyzji sądu, który nie zawsze stoi na wysokości zadania i przy istniejących obecnie warunkach nie zapewnia stronom słusznego zabezpieczenia ich interesów.

Wniosek ten przekazano Wydziałowi Wykonawczemu.

Również Wydziałowi Wykonawczemu przekazano wniosek P. Krauzego o zwoływanie konferencyj Prezesów Wojewódzkich Rad Łowieckich bezpośrednio przed każdem posiedzeniem Naczelnej Rady Łowieckiej.

Zgodnie z wnioskiem Wydziału Wykonawczego, Zarząd Związku powziął uchwałę następującą:

Liczba delegatów Walnych Zgromadzeń Wojewódzkich (Oddziałowych) na Walne Zgromadzenie Związku ustalana będzie na podstawie liczby członków, za których Oddziały wpłaciły Związkowi składki członkowskie.

Na najbliższe Walne Zgromadzenie Związku przysługiwać będzie Oddziałom — z zachowaniem powyższej zasady — prawo wysłania:

2 delegatów przy liczbie do 300 członków,
3 „ „ „ od 301 do 400 członków,
4 „ „ „ od 401 do 500 członków,
5 „ „ „ ponad 500 członków.

Datę pierwszego na podstawie nowego statutu Walnego Zgromadzenia Związku — po dyskusji, w której głos zabierali P.P.

Hr. Bielski, Inż. Skulski, Krauze i Dr. Lardemer — ustalono na dzień 16 stycznia r. 1938.

Data ta, przewidywana uprzednio na listopad r. b., przesunięta została specjalnie na prośbę Oddziału Związku we Lwowie, przy zobowiązaniu tegoż Oddziału do ukończenia prac reorganizacyjnych do dnia 31 grudnia r. b.

Zatwierdzono przygotowany przez Wydział Wykonawczy projekt porządku obrad Walnego Zgromadzenia Związku.

W przeddzień Walnego Zgromadzenia odbędzie się posiedzenie Zarządu Związku; bezpośrednio zaś po Walnem Zgromadzeniu — posiedzenie nowowybranej Naczelnej Rady Łowieckiej, na którem dokonany będzie wybór i podział czynności Komitetu Wykonawczego oraz wybór Sądu Łowieckiego przy Naczelnej Radzie Łowieckiej.

Zarząd zatwierdził opracowany przez Wydział Wykonawczy projekt regulaminu Kapituły Odznaczeń Łowieckich.

Zarząd Związku nadał Złoty Medal Zasługi Łowieckiej Bar. Pierre Coche'owi — za działalność publicystyczną o łowiectwie polskiem.

Zarząd podzielił słuszność stanowiska Wydziału Wykonawczego, że do czasu ukonstytuowania Kapituły Odznaczeń Łowieckich — wnioski o wyższe stopnie odznaczeń będą odłożone.

Sprawa ewentualnego zwrotu kosztów podróży Łowczym i Podłowczym Powiatowym omówiona została przy sprawozdaniu.

WALNE ZGROMADZENIA ORGANÓW POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

POWIAT WARSZAWSKI

Stosownie do par. 50 i następnych Statutu Polskiego Związku Łowieckiego zwołuję na d. 16 grudnia 1937 r. o godz. 19-ej Walne Zgromadzenie Powiatowe Polskiego Związku Łowieckiego pow. warszawskiego w lokalu Polskiego Związku Łowieckiego w Warszawie, ul. Nowy Świat 35 z następującym porządkiem dziennym:

1) Wybór członków Powiatowej Rady Łowieckiej,
2) Wybór delegatów na Walne Zgromadzenie Wojewódzkie,
3) Wolne wnioski.

ZBIGNIEW KOWALSKI
Łowczy Powiatowy.

OKÓLNIK WOJEWODY KIELECKIEGO

W dalszym ciągu wiadomości, dotyczących wydanych przez niektórych PP. Wojewodów okólników do PP. Starostów o współdziałaniu władz administracyjnych pierwszej instancji z organami Polskiego Związku Łowieckiego („Łowiec Polski" Nr. 27, str. 535), mamy do zanotowania jeszcze jeden podobny okólnik Pana Wojewody Kieleckiego, wydany w październiku bieżącego roku.

Jest mowa w nim o powstaniu w Kielcach Wojewódzkiej Rady Łowieckiej i nominacji Łowczych i Podłowczych powiatowych. Następuje podkreślenie konieczności ścisłego przestrzegania wskazań okólnika Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Nr. A.P.18.9.7 z dnia 27.VIII 1936 r. w sprawie utrzymywania kontaktu z organami Związku, z wyszczególnieniem spraw, w których opinje Łowczych i Podłowczych mogą być bardzo cenne, a mianowicie:

1) wydawanie kart łowieckich i pozwoleń na posiadanie broni myśliwskiej;

2) rejestracja obwodów łowieckich i należyte ich zorganizowanie pod względem hodowlanym;

3) tworzenie spółek łowieckich;

4) działalność sądów rozjemczych do spraw o wynagrodzenie szkód łowieckich;

5) sprawy karno-administracyjne, wynikające z naruszeń przepisów prawa łowieckiego (ze wskazaniem używania Łowczych i Podłowczych Powiatowych, jako biegłych).

Nadto okólnik wyraża opinję, iż celem umożliwienia sprawnej działalności Polskiemu Związkowi Łowieckiemu w dziedzinie gospodarki łowieckiej i walce z kłusownictwem pożądane jest udzielanie Łowczym Powiatowym wglądu w dane statystyczne i akta, związane z łowiectwem (z wyjątkiem tajnych i poufnych).

Przytaczając zasadniczą treść tego okólnika, jako wydanego przez piątego z rzędu Wojewodę, uważamy za wskazane, aby Prezesi Wojewódzkich Rad Łowieckich, na terenie działalności których dotąd PP. Wojewodowie podobnych poleceń PP. Starostom nie wydali, zajęli się oświetleniem tej sprawy PP. Wojewodom w sposób właściwy, w myśl powołanego wyżej okólnika Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

SPRAWOZDANIE Z I-CH JESIENNYCH PRÓB POLOWYCH DLA WYŻŁÓW UŻYTKOWYCH,

KTÓRE ZOSTAŁY ZORGANIZOWANE PRZEZ ODDZIAŁ P. Z. Ł. i M. T. Ł. W KRAKOWIE

W dniu 26 września 1937 r. na polach Karniowic i Więckowic odbyły się próby. Pogoda była słoneczna, ciepła, o zmiennym słabym wietrze; poprzedniego dnia padał deszcz; rosa była bardzo duża.

Do prób zgłoszono 3 ostrowłose wyżły niemieckie, 8 pointerów i 1 settera. Na start nie zjawiły się 2 pointery. Psy rozdzielono na dwie grupy: psy ras kontynentalnych i wyżły ras angielskich. Sędziował p. Dr. M. Bielawski z Warszawy w asyście p. Dra A. Lardemera oraz p. Dra J. Z. Robla.

W grupie wyżłów kontynentalnych pierwsza była puszczona **Magda v. d. Sonneburg"**, ostrowłosa suka niemiecka, ur. dn. 8.VI 1932 r., po „Thor. v. Dützenberg" — „Mira v. Hubertushof"; właściciel i mener: Piotr Kaatz. Suka, jak na wyżła niemieckiego, wykazuje dobry temperament i dość szybkie chody. Tresura bardzo dobra i posłuszeństwo zupełne. Przekładanie mało szerokie, wiatr wykazała średni. Po strzale spokojna, aportuje czysto. Wobec wykazania zaledwie średniego wiatru mogli sędziowie przyznać tylko nagrodę trzecią. Prócz tego otrzymuje: 1) medal bronzowy P. Z. H. P. R., 2) nagrodę honorową I. K. C. dla najlepszego wyżła niemieckiego, 3) nagrodę honorową firmy J. Splichal Syn w Krakowie dla najbardziej stylowego psa, 4) 100 nabojów ofiarowanych przez T-wo Łowieckie „Diana" w Krakowie, 5) 100 nabojów ofiarowanych przez firmę R. Gliniecki i Ska w Krakowie oraz 6) 50 zł. ofiarowanych przez T-wo Myśliwskie im. św. Huberta w Krakowie za najlepszą tresurę.

Następny **„Czok z Boreczka"**, pies ostrowłosy rasy niemieckiej, ur. 27.III.1936 r. po „As z Rogów" — „Magda v. d. Sonnenburg", właściciel Jan Kurnatowski, hodowca Piotr Kaatz, prowadzi P. Kaatz: niedojrzały do prób polowych.

Ostatni **„Pedro"**, ostrowłosy pies rasy niemieckiej, właściciel M. Skrzyński prowadzi P. Drewniak: bez miejsca.

Wyżły ras angielskich.

Jako pierwszy idzie pointer **„Semper Dux"**, ur. 25.IV.1935 r. po „Blackfield Golf" — „Training Zula", hodowca A. Kalicki, właściciel St. Klawe, prowadzi J. Klawe. Bez miejsca.

Druga poszła **„Kujavia Glorious Blonde (Hetka)"**, ur. 24.III 1936 r. po „Harry" — „Bolmil Fit". Hodowca T. Marchlewski, właściciel Cz. Karwiński, prowadzi J. Lauer. Młoda ta suczka wykazuje duże wrodzone zdolności: dobry wiatr, styl, chody i przekładanie; wystawia przepięknie dwukrotnie kury. Niestety tresura jej została przedziwnie zbagatelizowana przez tresera, który nie zadał sobie trudu nauczenia suczki aportowania, skutkiem czego nie mogła być według regulaminu nagrodzona. Takie traktowanie klasowych i wartościowych psów przez treserów jest niedopuszczalne i żadną miarą tolerowane być nie może.

Następny idzie **„Kujavia Shot Again"** ur. 31.I.1931 r. po „Kujavia Shot III" — „Bolmil Fit". Hodowca T. Marchlewski, właściciel i mener J. Marchlewski. Bez miejsca.

Jako czwarty poszedł **„Happy End (Boy)"** ur. 7.III.1934 r. po „Crack" — „Bolmil Fit". Hodowca T. Marchlewski, właściciel i mener H. Biernacki. Pies ten dał kilka robót dobrych, popełnił szereg błędów, wskutek czego otrzymuje tylko zaświadczenie polowe.

Piąty idzie **„Splendor O'Key"** ur. 5.VII.1936 r. po „Irokez"— „Splendor Malva". Hodowca A. Brudnicki, właściciel i mener W. Wattson, układał H. Zabłocki. Pies ten przepięknie zaczął pracę, niestety pogonił postrzeloną poprzednio kurę, za co został zdjęty.

Szósty **„Splendor Aquil"** ur. 5.VII.1936 r. po „Irokez" — „Splendor Malva". Hodowca, właściciel i mener A. Brudnicki. Układał W. Łosakiewicz w Lublinie. Dał kilka stójek pustych z doprowadzeniem do pustego miejsca i dwie roboty dobre. Zaświadczenie polowe.

Ostatni setter angielski **„Rex"** ur. 15.VI 1934 r., rodzice „Ary" — „Lala", hodowca L. Poleski, właściciel i mener T. Sośnicki. Z miejsca pogonił kury — zdjęty.

Wyniki prób w odniesieniu do psów miejscowych wypadły gorzej, niż należało się spodziewać wobec jakości materjału hodowlanego. Jest to zupełnie zrozumiałe, ponieważ próby odbyły się w Krakowie po 35-letniej przerwie i wielu menerów, nigdy nie widząc prób polowych, nie umiało wykorzystać wartości swoich psów. Oczywista, że stan ten ulegnie radykalnej zmianie po następnych paru próbach.

Podkreślić należy ogromne zainteresowanie publiczności, która zjawiła się na polu nadspodziewanie licznie i bardzo szybko zaczęła się orjentować w wymaganiach, stawianych psom. W czasie prób wytworzył się przemiły nastrój, który osiągnął swój ostateczny wyraz podczas śniadania w gościnnym dworze państwa Skrzyńskich w Karniowicach.

M. Bielawski

A. Lardemer

J. Z. Robel



Nakładem Wydawnictwa J. Przeworskiego w Warszawie ukazała się praca G r e y O w l'a, Szarej Sowy (Wa-Sha-Quon-Asin) p. t. *„Pielgrzymi Puszczy"*. Stron 297. Tłomaczył Aleksander Dobrot. Okładkę projektował T. Piotrowski; słowem wstępnem opatrzył Arkady Fiedler.

Jakże trudno jest recenzować książkę, której poziom jest ponad krytykę lub pochwały.

Grey Owl — nazwisko, które elektryzuje tysiące, miljony czytelników całego świata, nazwisko z nabożeństwem wymawiane przez traperów kanadyjskich, przez Anglików, przez każdego, kto zetknął się z niem bezpośrednio, lub za pośrednictwem jego prac.

Grey Owl urodził się w roku 1888, ma w sobie krew szkocko-indjańską. Kształcił się początkowo w Anglji. W roku 1905 opanowuje go „gorączka złota". Jako dziecko jeszcze przebywa wśród wojowników indjańskiego szczepu Ojibway. Tam nauczono go traperki, a dla jego zamiłowania do włóczenia się nocą po lasach nazwano go Szarą Sową — W a - S h a - Q u o n - A s i n.

W czasie wielkiej wojny służy w wojsku, lecz już w roku 1917 zostaje zdemobilizowany z powodu ran odniesionych na wojnie. Zostaje wkrótce mianowany głównym leśniczym w rezerwacie Mississuaga. Wkrótce jednak opanowany pasją włóczęgostwa rzuca stanowisko leśniczego i udaje się na wędrówkę. Spotyka Indjankę Anahareo, żeni się z nią, choć z początku wydaje się mu ona zupełnie innych poglądów.

Odtąd razem włóczą się po lasach Dalekiej Północy, czasem przyłącza się do nich stary traper, Indjanin — Dawid Biały Kamień ze szczepu Algonquinów. Polują, stawiają pułapki, łowiąc rysie, wilki, bobry, wiewiórki i inne zwierzęta futerkowe.

Aż raptem pewnego dnia dziwna zmiana zachodzi w usposobieniu Grey Owl'a. Jakiś podświadomy wyrzut rodzi się w jego sercu, gdy dobija złapanego bobra-samicę. Obok kręcą się dwa małe boberki, dzieci zabitej. Grey Owl łapie je i odtąd stanowią one radość jego życia. Anahareo jest dalej wierną towarzyszką swego męża — i ona kocha boberki.

Mija kilka miesięcy, podczas których Grey Owl poluje już tylko dla zdobycia mięsa, potrzebnego do wyżywienia. Bobry stały się świętością. Te kilka miesięcy stanowią olbrzymi etap w życiu Szarej Sowy. Wreszcie przybywają nad jezioro Touladi. I tu ma się dokonać wielki cud. Wyczerpują się środki żywności. Grey Owl nie może złowić nawet marnego lisa, a nad Touladi mieszkają cztery dzikie bobry, których skórki przedstawiają dużą wartość. Pokusa pcha Grey Owl'a aż do zastawienia pułapek, lecz w nocy duch ochroniarski zwycięża, duch miłośnika zwierząt jest już silniejszy od pokusy. Grey Owl wstaje i zdejmuje pułapki. Była to ostatnia pokusa, jest od nich wolny i odtąd poświęca się studjowaniu życia bobrów.

Pewnego dnia swoje zapiski przyrodnicze posyła do wydawcy angielskiego pisma ziemiańskiego. I o dziwo, za kilka miesięcy przychodzi czek i numer pisma, gdzie prace jego są odtąd stale drukowane.

Lecz życie w puszczy kanadyjskiej nie jest łatwe. Trzeba walczyć ze śniegiem, z mrozem, z brakiem domu lub szałasów, a nadewszystko z brakiem dochodów, z nędzą. Nic jednak nie przeraża Grey Owl'a.

W głowie świta mu nowa myśl. Trzeba odnaleźć gdzieś głęboko w puszczy leżące jezioro, którego warunki pozwalałyby na założenie rezerwatu bobrowego. Gdy myśl ta błąka się po umyśle Szarej Sowy, giną w puszczy dwa oswojone bobry· pierwsza poważna tragedja w życiu Grey Owl'a i Anahareo. Szukają bobrów przez szereg tygodni, wreszcie zdają sobie sprawę, że bobry zginęły dla nich bezpowrotnie.

I znowu nowy cud. Ktoś ze znajomych przynosi im parkę młodych. Lecz wnet samiec zdycha. Pozostaje jedynie „Galaretka", która stanie się niedługo założycielką kolonji bobrów w nowym rezerwacie.

Anahareo wraz z Dawidem udają się na poszukiwanie złota. Szara Sowa zostaje z „Galaretką", aby nadal prowadzić poszukiwanie za zaginionemi bobrami. Ani na chwilę nie może uwierzyć, że bobry te nie żyją.

Wreszcie zjawia się pomoc ze strony rządu. Departament Rezerwatów, zainteresowany artykułami Grey Owl'a, wysyła ekspedycję filmową, aby sfotografowała „Galaretkę" i świeżo złapanego, a już oswojonego „Gołogłowego". Film oczarowuje wszystkich.

Anahareo wraca z bezskutecznych poszukiwań za złotem. Lecz teraz złoto już niepotrzebne. Rząd kanadyjski wyznacza stałą pensję Grey Owl'owi, aby tylko opiekował się hodowlą bobrów. Wnet też i młode już boberki zapełniają kolonję. Czuwa wciąż nad niemi czarowny cień dobrego Indjanina i jego żony.

Oto w bardzo skróconym zarysie podałem tło i treść „Pielgrzymów Puszczy".

Ale podanie treści nie wyczerpuje bogactwa, zawartego w tej książce. Jest ona bowiem pisana prosto z serca, bez dobierania pięknych słów i udrapowania stylistycznego, ale jakże cudowne myśli zawierał Grey Owl jest fanatycznym wielbicielem piękna przyrody północnej i na każdej stronicy to piękno opisuje słowem prostem, lecz trafiającem w serce czytelnika.

Książkę zdobią fotografje i liczne ryciny, robione ręką samego Grey Owl'a. Równie proste są one, jak jego umysł, przesiąknięty jedną tylko myślą: przez zainteresowanie społeczeństwa pięknem przyrody i życiem zwierzyny — uratować ginące bobry od zagłady.

A na końcu książki jest takie zdanie:

„...Gdzieś wśród wzgórz leżą jeziorka, nad których brzegami znajdują się chyba po dzień dzisiejszy popioły moich ognisk obozowych.

Wrócę tam jeszcze kiedyś.

Muszę też wrócić do tych, z którymi będę mógł wspominać dni minione, stare, znane widoki, wryte w pamięć ścieżki w puszczy. Muszę usłyszeć jeszcze i sam przemówić językiem Ojibwayów, aby nie sądzili, że przybrany syn zapomniał już ich mowy. Jeszcze raz chcę zatańczyć taniec Mississuagi pod rytm bębna czarownika Malogense, zwanego Małem Dzieckiem.

Wzywa mnie rzeka, jej zew słyszę wieczorami, o świcie, gdy jestem samotny".

Śpiesz się, Szara Sowo. Cywilizacja postępuje... Jeśli chcesz zobaczyć niezmienioną kolebkę twych młodzieńczych przeżyć — to śpiesz się. Pójdziesz do Ojibwayów, ale ręka twa już nigdy nie podniesie się, by zabijać zwierzęta dla spieniężenia, dla zysku. Od tego wolne jest już twoje serce.

A Ty, Szanowny Czytelniku, proszę, przeczytaj książkę Grey Owl'a, jeszcze takiej nigdy nie czytałeś, przewyższa ona o niebo Londona, Curwooda. Naprawdę warto ją przeczytać. Wniesie ona coś nowego w twoje serce, a umysł Twój będzie się rozkoszować, gdy ręka odwracać będzie kartki „Pielgrzymów Puszczy".

M. MNISZEK TCHORZNICKI.

Niedawno ukazał się Nr. 11, listopadowy, nowego (wychodzącego pierwszy rok) miesięcznika, poświęconego kronice sfer towarzyskich, p. t. „High Life".

Większa część numeru poświęcona została Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej, odniesionym na niej sukcesom Polski i artykułom łowieckim, a mianowicie: Z osobistych wrażeń myśliwskich w Polsce — Premjera Göringa, „Myśliwstwo jest źródłem tężyzny fizycznej i moralnej — Ambasadora Józefa Lipskiego, „Najpiękniejszy dzień w życiu..." — Płk. Scherpinga, Szefa Państwowego Urzędu Łowieckiego Rzeszy Niemieckiej, „Nasz wielki sukces w Berlinie" — J. Wł. Kobylańskiego, „Wielki tryumf Polski (z konferencji prasowej w Polskim Związku Łowieckim), „Wartość polskiego łowiectwa" — Wł. Zabiełły, „Jak kniaź na kniazia trafił" — Karola Ks. Radziwiłła (przedruk z „Łowca Polskiego").

Nadto Redakcja „High Life'u" skorzystała z okazji, aby prócz wielu reprodukcyj fotografij z berlińskiej wystawy, zamieścić reprodukcje fotografij szeregu osób, wchodzących w skład władz Polskiego Związku Łowieckiego „jako tej organizacji — pisze Redakcja — która w wysokim stopniu przyczyniła się do odniesienia przez Polskę wielkiego sukcesu". Wł. Z.

OBCHÓD ŚW. HUBERTA W SANOKU

Dnia 31 października odbył się w Sanoku po raz pierwszy obchód św. Huberta, urządzony przez Powiatową Radę Łowiecką.

Po nabożeństwie w kościele parafjalnym w Sanoku została poświęcona broń myśliwska przed rozpoczynającym się sezonem.

Potem udali się myśliwi w liczbie około 40-tu na strzelnicę wojskową, gdzie przy pięknej pogodzie i licznym udziale publiczności odbyły się strzelania konkursowe z następującym wynikiem:

I. Dzik w przebiegu na 50 kroków: 1) Paweł Wiktor, 2) Jerzy Myczkowski, 3) inż. Adam Smorągiewicz.

II. Zając w przebiegu na 40 kroków: 1) Ignacy hr. Potocki, 2) kpt. Kantor 2. P. S. P., 3) Jerzy Myczkowski.

III. Rzutki, serje po 10 sztuk: 1) Zygmunt Russocki, 2) Józef hr. Potocki, 3) Stanisław hr. Potocki.

Najlepszy wynik dnia we wszystkich 3 konkurencjach osiągnął Paweł Wiktor. Ogółem strzelało 40 zawodników.

IV. Bieg myśliwski z finischem płaskim, przy udziale 24 jeźdźców. Do mety przybył: 1) Tytus Trzecieski, 2) Olechowski 2 P. S. P., 3) Zygmunt Russocki, z pań Ewa Wiktor, która z powodu pęknięcia strzemienia w pierwszej części biegu zrzuciła siodło i przejechała około 8 km. trasy oklep, biorąc wszystkie przeszkody.

Muszę tu podkreślić bardzo życzliwe ustosunkowanie się do tej imprezy wszystkich władz, a w szczególności Korpusu Oficerskiego 2 P. S. P. z p. płk. Csadekiem na czele. Dostaliśmy doskonale zorganizowaną strzelnicę, świetnie przygotowaną trasę do biegu myśliwskiego i muzykę.

Nagrody ofiarowali: Małopolskie Towarzystwo Łowieckie, Koło Związku Oficerów Rezerwy w Sanoku, Państwowa Wytwórnia Prochu w Pionkach, „Sanok" Polska Ska dla przemysłu gumowego w Sanoku, firmy: Adamski, Piątek, Robel, Stefańska, Steciak oraz pp. dr. St. Domański, inż. Adam Morawski, Jan hr. Potocki, Lucjan Borck Prek, Mieczysław Woliński.

Pragnę na tem miejscu raz jeszcze wszystkim ofiarodawcom nagród, jakoteż wszystkim Paniom i Panom, którzy swą ofiarnością i pracą przyczynili się do pięknego wyniku tej imprezy, podziękować staropolskiem „Bóg zapłać".

Zainteresowanie zawodami było bardzo duże i mamy nadzieję, że będą one obecnie odbywały się już stale, rokrocznie.

Dochód został przeznaczony w połowie na budowę kościoła w Dobrej Szlacheckiej, w połowie na podniesienie łowiectwa w powiecie sanockim.

PAWEŁ WIKTOR
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

ZAWODY STRZELECKO-MYŚLIWSKIE W ŁUCKU

W dn. 3 listopada r. b., jako w dniu patrona myśliwych św. Huberta, odbyły się na strzelnicy wojskowej w Łucku zawody strzelecko-myśliwskie, poprzedzone Mszą św., odprawioną w kościele garnizonowym przez ks. kapelana Święcickiego.

Niestety, do zawodów stanęła znikoma ilość 15 zawodników.

W poszczególnych konkurencjach zdobyli pierwsze i drugie miejsca:

I. Dublet do dzików:

1) p. Apolinary Jackiewicz, 2) p. mjr. Edmund Chojecki.

II. Strzelanie do dzika pojedyńczego:

1) p. Stanisław Torka, 2) p. ppor. Zbigniew Buyko.

III. Strzelanie kulą do lisa:

1) p. Apolinary Jackiewicz, 2) p. mjr. Edmund Chojecki i p. mjr. Zygmunt Wałecki.

IV. Strzelanie do kaczek — pojedyńcze i dublet:

1) p. ppor. Zbigniew Buyko, 2) p. mjr. Zygmunt Wałecki.

V. Strzelanie do zająca:

1) p. Stanisław Torka, 2) p. płk. Antoni Żurakowski.

Nagrodę za najlepsze wyniki w strzelaniu kulą, ufundowaną przez Wołyńską Wojewódzką Radę Łowiecką, zdobył p. Apolinary Jackiewicz.

Zdobywcy wszystkich pierwszych miejsc otrzymali piękne nagrody, ofiarowane przez: Powiatową Radę Łowiecką w Łucku, Wojewódzkie Koło Łowieckie w Łucku, Oficerską Sekcję Łowiecką W. K. S. w Łucku, Łuckie Towarzystwo Myśliwskie i Sekcję Łowiecką Koła Leśników w Łucku.

Prócz tego w strzelaniu do rzutków rozegrano trzy pule, w których pierwsze miejsce osiągnęli: p. Stanisław Torka, po rozgrywce, p. por. Antoni Staniszewski, p. mjr. Edmund Chojecki, po rozgrywce.

Zawody były urządzone bardzo starannie tak pod względem technicznym, jak i dekoracyjnym, przez Oficerską Sekcję Łowiecką pod wytrawnem kierownictwem Łowczego tejże Sekcji, por. Antoniego Staniszewskiego.

W roku 1938 Wołyńska Wojewódzka Rada Łowiecka postanowiła urządzić wielkie zawody strzelecko-myśliwskie, tak w strzelaniu kulowem, jak i do rzutków. Należy przypuszczać, że większa ilość myśliwych weźmie udział w tem szlachetnem współzawodnictwie.

OD REDAKCJI „KALENDARZA MYŚLIWSKIEGO"

W pierwszej połowie grudnia b. r. opuści prasę drukarską „Kalendarz Myśliwski" na 1938 r., wydawany rokrocznie przez Polski Związek Łowiecki.

Jak wiedzą wszyscy, którzy w poprzednich latach zaopatrywali się w „Kalendarz Myśliwski", znajdują się w corocznem jego wydaniu podstawowe informacje i wiadomości z dziedziny urzędowej i organizacyjnej, technicznej i t. p., jako to:

Tabelka czasu odstrzału i ochrony poszczególnych gatunków zwierzyny, ulegająca zmianom i wahaniom, ujmowanym przez rozporządzenia Ministerstwa Rolnictwa na określone okresy czasu.

Obowiązujące prawo łowieckie w pełnem brzmieniu.

Wyciąg z kodeksu karnego i postanowień karnych prawa łowieckiego.

Postanowienia i przepisy o przewożeniu psów z miejsca na miejsce, jak również o przewozie psów myśliwskich koleją (łącznie z taryfą).

Normy podatku od wykonywania prawa polowania.

Podatek od broni myśliwskiej.

Wzorowy statut kółek łowieckich.

Wzorowy statut spółek myśliwskich (gromadzkich).

Wzór umowy na dzierżawę prawa polowania.

Regulaminy wiosennych i jesiennych konkursów i prób polowych wyżłów.

Przykazania myśliwskie.

Losowanie stanowisk.

Tabelka do wyznaczania numerów stanowisk.

Normy ładunków śrutowych i t. p.

Nadto z roku na rok rozszerzany, uzupełniany i zmieniany jest w swej treści dział fachowy: gospodarczo-łowiecki, wia-

domości technicznych (broniowo-balistycznych), z zakresu urządzania polowań oraz cały szereg innych bardzo ciekawych i przydatnych dla każdego myśliwego tematów, służących jako niezbędny podręcznik i poradnik myśliwego, jak również jako wiadomości kształcące dla młodych adeptów bractwa św. Huberta.

Wśród autorów, pisujących w „Kalendarzu Myśliwskim", znajdujemy długi szereg nazwisk osób, głęboko łowiectwu polskiemu i jego przyszłości oddanych, fachowców-naukowców i praktyków.

Pozatem wzrasta również dział ogłoszeniowy.

Objętość „Kalendarza Myśliwskiego" na rok 1937 doszła do 416 stronic druku, na rok 1938 dosięgnie zapewne jeszcze wyższej cyfry.

Komunikat niniejszy zamieszczamy wyłącznie w tym celu, aby zawczasu zainteresować „Kalendarzem Myśliwskim" jak najszersze grono myśliwych, dla których jest on nieodzownem w praktyce Vade - mecum.

Zamówienia na „Kalendarz Myśliwski" na rok 1938 przyjmuje Administracja „Łowca Polskiego" (patrz ogłoszenie na okładce).

BOBRY NAD SZCZARĄ

(zet) W łączności z wiadomościami, zawartemi w Nr. 24 „Łowca Polskiego" z r. b. w artykule p. Daniela p. t. „Ze wspomnień o bobrach w powiecie słonimskim", mamy do zanotowania fakt, stwierdzony przez Łowczego Powiatowego P. Z. Ł. na pow. Słonim, p. Mirosława Olszewskiego, że nad rzeką Szczarą znajduje się obecnie gniazdo bobrów.

Dla utrzymania bobrów w obranem przez nie siedlisku Starosta słonimski wydał odpowiednie zarządzenia ochronne.

KRONIKA MYŚLIWSKA

— W dniu 20 listopada b. r. opolowano około 40 włók dom. Łubno pp. Wiesławostwa Żakowskich. Przy pięknej słonecznej pogodzie, znakomitej organizacji polowania, w 10 strzelb ubito: 450 bażantów i 350 zajęcy. Razem 800 sztuk. Największy pokot osiągnął p. Stefan Wyganowski, następne miejsce zajął p. inż. Karol Rotkel.

Stan zwierzyny z roku na rok coraz lepszy, dzięki stałej opiece, otaczającej łowisko, dożywianiu i ochronie przed drapieżnikami zwierzęcemi i ludzkimi.

— Dnia 20.XI b. r. odbyło się polowanie w Lipiu, majątku p. Aleksandra Steinhagena. Przy sprzyjającej pogodzie, ubito: 343 bażanty, 311 zajęcy, 30 kuropatw, 47 królików, 1 lisa i 1 słonkę; ogółem 733 sztuki. Najwięcej na rozkładzie mieli pp. Karol i Teodor Enderowie.

Polowanie w tem pięknem łowisku prowadzone było brawurowo przez młodego gospodarza. Doskonała organizacja, staropolska gościnność, dopełniły tych najmilszych wrażeń.

— W dniach 29 i 30 października b. r. odbyło się polowanie w dobrach hr. Jana Larischa w Łaziskach, pow. rybnickiego, gdzie w 9 strzelb ubito 2.450 sztuk, w tem 189 zajęcy, 878 królików, 1.372 bażanty i 11 słonek. Najlepszym strzelcem okazał się Minister pełnomocny, poseł w Wiedniu p. Gawroński, mając na rozkładzie 320 sztuk. Opolowano razem 90 ha lasu i zagajników.

W polowaniu brali udział: Margrabia Aleks. Palavicini, Książę Józef Lichtenstein, Hr. Leopold Podstacki, Hr. Franciszek Czernin, Hr. Andrzej Tarnowski, Min. pełn. Polski w Wiedniu p. Gawroński, Hr. Jan Larisch - Mönnich, Hr. Edward Larisch, Książę Radziwiłł, Książę Czartoryski i Hr. Van Der Ellst.

— Dnia 15 listopada 1937 r. odbyło się w majątku Czaryż, u Państwa Tadeuszów Siemieńskich, polowanie w 10 strzelb. W polowaniu wzięli udział: pp. Karol baron Ike-Dunikowski, Tomasz Karski, Jan Koźmian, Wojciech Michalski, Adam Morawski, Konrad Niemojewski, Aleksander Płoski, Adam Wielowieyski, Zbigniew Wielowieyski i Janusz Zdziechowski.

Ogółem zabito sztuk 1576, w czem zajęcy 498, królików 182, bażantów 859 i kuropatw 37.

— Dnia 16.XI. r. b. w maj. Czarna, wł. p. Zygmunta Mierosławskiego, odbyło się polowanie w 12 strzelb. W 3½ godziny zabito 362 bażanty, 1 lisa i kilka zajęcy. Świetny stan bażantów należy przypisać wyłącznie gospodarzowi, który przez fachowe traktowanie łowiska dochował się znakomitych wyników w hodowli bażantów na dziko. P. Z. Mierosławskiemu dzielnie pomaga fachowiec-leśniczy p. Kamiński.

— W dniach 8 i 9.X. r. b. odbyło się polowanie u Margrabiego Zygmunta Wielopolskiego w Książu - Wielkim przy udziale sześciu myśliwych: mianowicie pp. Konrada Niemojewskiego, Pawła hr. Potockiego, Władysława hr. Potockiego, Jana hr. Szeptyckiego, Benedykta hr. Tyszkiewicza, Janusza Radziechowskiego.

Ubito ogółem 3642 sztuki, z czego pierwszego dnia w sztrajfach leśnych zajęcy 1211, bażantów 201, królików 238, kuropatw 24, słonek 8 i jednego lisa; drugiego dnia w pędzeniach — zajęcy 293, bażantów 1493, królików 134, kuropatw 36 i 3 różne.

SPROSTOWANIE

Proszeni jesteśmy przez Komisję Sędziowską, która sędziowała na jesiennych próbach polowych w Łazach pod Warszawą, aby zamieścić następujące sprostowania mylnie brzmiących zdań w zamieszczonym w Nr. 33 „Łowca Polskiego" sprawozdaniu z tych prób:

1. Gdy mowa o „Aquilu" (w klasie młodzieży) błędnie wydrukowano: „Przy trzeciej robocie do kur załamał się, nie zaaportował kury i wyszedł z ręki menera".

Powinno być: „Przy następnej robocie nie zaaportował kury i wyszedł z ręki menera".

2. Gdy mowa o „O'Key'u", błędnie wydrukowano: „Wykonał parę dobrych robót, aportując dobrze, lecz wyszedł z rąk prowadzącego".

Powinno być: „...i nie wyszedł z ręki prowadzącego".

ś. † p.

ZDZISŁAW

Hr. TARNOWSKI

z Dzikowa

zmarł dnia 24 listopada 1937 r.

Cześć Jego pamięci!

TREŚĆ NUMERU.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł
Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.
Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł.
Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Gorczyński. **Wydawca:** Polski Związek Łowiecki.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa